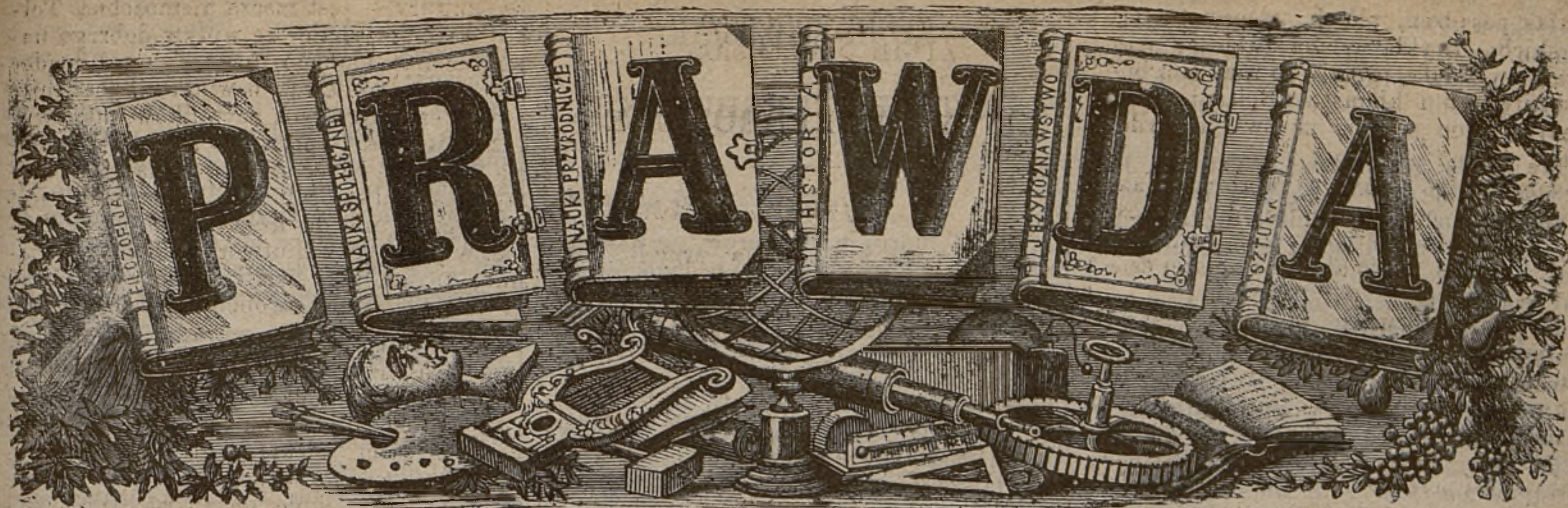
№ 17. Warszawa, dnia 28 (16) Kwietnia 1888 r. Rok VIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota №. 23.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka*: Człowiek żelazny. — Tydzień polityczny. — Nieśmiertelne dusze. II. Aureli Wiszar dramat w trzech aktach W. Okońskiego. — *Życie społeczne*: Listy petersburskie p. N. B. — *Badania naukowe*: Historya. Hirschberg Aleksander: Hieronim Łaski p. Sm. — Procesy dziejowe. II. Ascetyzm a życie społeczne p Lud. Krz. — *Literatura i sztuka*: Józef Ignacy Kraszewski I. p. A. N. — Z Niemiec p. Ladawę. — *Fejleton*: Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. Drogomira. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

CZŁOWIEK ŻELAZNY.

Ks. Bismark nietylko współcześnie, ale w całej historyi jest jedynym mężem stanu, który w swych działaniach i wywodach teoretycznych najzupełniej obywa się bez wszelkich pobudek i względów moralnych, bez wszelkich zasad. Może byli inni, w głębi ducha podobnie myślący, ale żaden nie ujawnił tego tak szczerze. Gdy coś czynił lub przemawiał taki Richelieu, Talleyrand, Metternich, zawsze w ich słowach dźwięczała bodaj słaba, bodaj udana nuta szlachetności niezależnej od interesu. Odwoływali się oni zawsze do jakichś praw, do woli bożej, do przeznaczeń człowieka i społeczeństw. Kanclerz niemiecki odrzuca te stare rupiecie: pewne wyrazy nawet przypadkowo nie wybiegają mu na usta, pewne pojęcia nie zakradają się do mózgu. Nie pamiętamy, ażebyśmy w tylu jego mowach usłyszeli kiedykolwiek słowa: sprawiedliwość, moralność, cywilizacya itp. Zdaje się, że on je wyrzucił ze swego słownika. Jeden tylko wyraz, jedno tylko pojęcie jest dlań miarą wszelkich działań: materyalna siła. My napadniemy lub nie napadniemy tego lub owego, ten lub ów nas napadnie lub nie napadnie, my zwyciężymy, nas zwyciężą, my posiadamy tyle wojska, inni — tyle, my jesteśmy gotowi lub niegotowi do wojny, to mocarstwo lub stronnictwo przedstawia potęgę lub nieprzedstawia — oto jednokomórkowa moralnie tkanka wszystkich jego przemówień, które czasem tylko ozdabia wzmianką o Bogu i ojczyźnie. Nawet tego Boga wyobraża sobie, jako moc, której „się boi," a tę ojczyznę, jako olbrzymi obóz. Innych czynników wprost uznać nie chce, objawia względem nich kaleką bezwrażliwość, wymiata je z polityki drwinami. Ta szczególna natura, przypominająca swą jednostronnością i cechami wczesne okresy rozwoju ludzkości, odbiła się we wszystkich działaniach. Jako konserwatysta, stanął na czele liberałów i odbył z nimi wiele kampanij; jako człowiek religijny — wypowiedział wojnę katolicyzmowi; jako monarchista — oświadczył się przeciwko wstąpieniu na tron ks. Cumberlanda; jako sługa Hohenzollernów — wywołał starcie z Fryderykiem III.

Nie posądzamy ks. Bismarka, ażeby własną ręką naciskał sprężyny prasy, zbuntowanej przeciwko swemu monarsze; ale nie wątpimy, że gdyby chciał, łatwo zatamowałby wylew gadzinowego błota. Niektóre pisma wyrzucały to błoto taką szeroką rzeką, że aż przyzwyczajeni do swobody lekarze angielscy prosili ministra sprawiedliwości, ażeby im wytoczył procesy. Skandal wzrósł do tej miary, że *Freisinnige Zeitung* zagroziła zwołaniem zebrania ludowego w obronie cesarza, jeśli potwarcze głosy się nie uspokoją.

I oto staje przed nami „żelazny książę" jako wcielenie jednego tylko pierwiastku ludzkiego — siły fizycznej. Teraz nie przystraja on się już ani monarchizmem, ani wierną służbą dynastyi. Ręka uzbrojona orężem — to ostatnia potęga, przed którą głowę kłoni. Bo czy jeszcze nie wypowie posłuszeństwa Bogu, którego — jak bohater Prusa w *Omyłce* — „jedynie się boi," zaręczyć trudno. Wszelkie bowiem wyżyny znosi i szanuje, o ile na nich swe stopy stawia.

Pojmujemy zupełnie, że chory, z usposobienia łagodny, z pobudek ludzki Fryderyk III, po za różnicami w poglądach i pretensyami osobistemi, może czuć niechęć do takiego człowieka bez etyki innej, prócz kreślonej ostrzem bagneta. Dla wszystkich ludzi, a tem bardziej dla humanisty, ks. Bismark jest dziwotworem, Brennusem lub Attylą, wichrami burzy dziejowej przerzuconym z wieków odległych w bieżący. Nie raził on surowego żołnierza — Wilhelma III, ale przeraża dobrotliwego człowieka — Fryderyka III. Że walka, jaka się wywiązała między tymi sprzecznymi charakterami, musiała niebezpiecznie wstrząsnąć zdrowiem cesarza — dowodzić nie potrzeba. Ponieważ zaś w niej zwycięzcą pozostanie nie dogorywający dobroczyńca, więc Niemcy znowu, po krótkim odpoczynku, przejdą w okres rządów siły brutalnej.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Przed tygodniem zdawało się, że dla cesarza niemieckiego nadeszła ostatnia chwila. Oprócz wysokiej gorączki, groziło mu uduszenie, gdyż wydzielina ropna, płynąc obficie, zatykała rurkę i tamowała oddech. Ale udało się lekarzom odwrócić i ten, może już przedostatni cios. Chory znowu odzyskał przytomność i zajmuje się sprawami państwa. Jakkolwiek część prasy niemieckiej miota obelgi na Mackenziego i jego pomocnika, nie ulega wątpliwości, że tylko dzięki znakomitej pomocy tych dwu lekarzy Fryderyk III trzyma się przy życiu. Przyznanie tego faktu jest za ciężkiem dla dla buty i zawiści pruskiej, dla której „die grössten Capazitäten Deutschlands" są najwyższym trybunałem lekarskim. Doktorowie angielscy muszą zachować całą zimną krew swej natury, ażeby spokojnie wytrzy-

mać atak posądzeń, plotek i oszczerstw gazeciarskich. Zwykła zmiana służącego przy cesarzu wywołała przeciwko nim całą burzę wymysłów i kłamstw. Boleśnie więc, bardzo boleśnie schodzi ze świata Fryderyk III.

Odwiedziła go królowa Wiktorya. Jakkolwiek i tej podróży zbytnia domyślność przypisuje znaczenie polityczne, mniemamy, że jest to tylko akt zrozumiałej czułości.

W rządzie francuzkim objawiła się wreszcie pewna energia. Okrzyki na cześć Boulangera jeszcze trwają, ale prezes ministrów Floquet widocznie postanowił bardzo mocno chwycić za kark obdłużonego niezarobioną sławą bohatera, gdyby ten chciał wyżej postąpić w swych ambicyach. Nastąpiło przytem zbliżenie się ku sobie grup republikańskich a i w społeczeństwie powstała reakcya. Studenci paryzcy wyzwali czcicieli b. generała do ulicznej rozprawy, w której pięści z obu stron miały wiele roboty. Prezydent Carnot rozpoczął objazd kraju i wybrał się do Bordeaux. Tam prawdopodobnie powie „wielką mowę,“ a „wielkie mowy“ na francuzów jeszcze działają. Na odezwę Boulangera odkrzyknął bardzo zgodnym manifestem Hrabia Paryża, tak zgodnym, że prasa republikańska słusznie pod obu pretendentów podpisała wspólny mianownik.

Krótki spokój już się sprzykrzył w Europie. Zwłaszcza niegasnący nigdy wulkan Bałkański zaczyna znowu pracować. W Serbii gwar waśni stronnictw i podziemny huk wzburzonej lawy, z Bulgaryi również dolatują odgłosy skłóconych żywiołów. Natomiast niebo Austryi zgarnęło z siebie czarną chmurę. Cesarz wezwał posła Jaworskiego, zalecił posłom galicyjskim przyjęcie podatku wódczanego i — opór Koła prysł jak bańka szklanna. Nietylko prysł, do ustępstwa bowiem Koło — jak zwykle szczodre — dorzuciło ofiarę i zrzekło się dobrodziejstw wniosku Mengera, który mu zapewnił odszkodowanie. Naturalnie zaszeptały języki o „wyższych“ pobudkach tej ofiary, które spoczywają ukryte w obłokach bliżkiej przyszłości; ale tę farsę już nieraz widzieliśmy i pamiętamy jej zakończenia. Zresztą sprawa ta ma tyle nici charakterystycznych, że je rozsnujemy później osobno.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.

Petersburg, 5 kwietnia.

D. 24 marca p. Kapterow, przy licznem zgromadzeniu nauczycieli i pedagogów, roztrząsał wychowawcze teorye słynnego powieściopisarza, hr. L. Tołstoja. W zasadzie nie wiele różnią się one od teoryj J. Rousseau. Człowiek, przychodząc na świat, przynosi z sobą harmonię prawdy, piękna i cnoty; nieumiejętne, jednostronne wychowanie narusza równowagę i koszlawi charakter: fałsze kultury, gmatwanina pojęć, krzywe ścieżki dążeń — wszystko to wpaja się w mózg młodociany jako nietykalne prawdy. Zwykłe wychowanie dziecka ma na celu, nie utworzenie zeń człowieka, lecz wprowadzenie w szranki życia; zamiast utrwalić harmonię — psuje, ponieważ nie uznaje, że „ideały nasze nie przed nami, lecz po za nami.“

Szkoły nie wypełniają swego posłannictwa: zamiast zaszczepiać tylko czystą wiedzę, biorą na siebie też wychowanie. Nauka powinna być wolną od moralnego despotyzmu; tylko nauka objawionej religii, o prawdzie której nikt nie może wątpić, ma być przymusową — inne zaś winny zależeć od woli uczących się. Uczeń sam wybiera z dziedziny wiedzy to, co się mu podoba i bezwątpienia odczuwa zajęcie najstosowniejsze dla swego charakteru i zdolności.

Nie rozporządzając wychowaniem, szkoła nie ma też prawa nagradzać i karcić: wbijać komuś gwałtem wiedzę, która jest mu wstrętną — to bezprawie. Nauczyciel, wykładając przed uczniami swój przedmiot, niech nie głosi wyników, nie stwarza teoryj — gotowe prawdy zabijają indywidualizm. Unikając przymusu, oświata nie powinna też wglądać, do czego osobnik użyje swej wiedzy — jest to kwestya nienależąca do szkoły.

P. Kapterow ze swej strony znajduje, że teorya wrodzonej harmonii dziecka jest bezzasadną. Dzieci zepsutych rodziców częstokroć przynoszą z sobą na świat ułomność fizyczną i moralną, przy takich warunkach o wrodzonej doskonałości mowy być nie może. Dalej: ustrzedz szkołę i młodsze pokolenie, od wpływu starszego, od jego pojęć, kultury — jest rzeczą niemożebną. Tołstoj sam przyznaje, że wpływ dobrego nauczyciela, oddanego nauce, bywa nader znaczny; a ponieważ oświata nie jest zbiorowiskiem martwych czynników, ponieważ każda wiedza, wpływając na umysł, zmienia pojęcia — więc owa swoboda, owa niezależność od moralnego despotyzmu, jest marzeniem nie do urzeczywistnienia. Zresztą w późniejszych utworach Tołstoj wyjaśnia, że zdolny i światły nauczyciel potrafi zakreślić granice swobody swym uczniom.

Bezwątpienia — wnioskuje P. Kapterew — oświata daje możność otoczyć dziecię większą swobodą, niż wychowanie; lecz owa swoboda powinna zasadzać się, nie na pozostawieniu ucznia jego własnym instynktom, lecz na wyborze systemu szkoły. Obecnie liczą około pięciu różnych systemów, co przy wielkiej rozmaitości charakterów dziecięcych, jest niedostatecznem. Powinno być ich tyle, ile da się zbadać skłonności i głównych odmian ducha uczących się. Kurs ma zawierać nie to jedynie, co się wydaje mądrem i pięknem, lecz to, co odpowiada naturalnym pojęciom danej grupy. Tak zastosowany systemat, zamiast przygniatać, będzie wzmacniał osobową siłę, więc wszelki przymus stanie się rzeczą zbyteczną — sam przez się upadnie.

Na zakończenie prelegent wyraził, że choć zasady teoryi hr. Tołstoja są mylne, jednak mają wielkie znaczenie, jako czynniki, budzące pedagogikę z uśpienia, wymagające kierunku swojskiego — bez rutyny i przymusu, oraz zastrzegające dziecięciu troskliwe i delikatne obejście się.

W gmachu powszechnej wystawy z 1870 r., czyli jak tu nazywają w „Solanom horodkie,“ obecnie są dwie wystawy. Pierwsza: „pięknych kobiecych robót,“ podobna do tych, jakie miewamy w Warszawie, a więc: jedwab, włóczka, porcelana, farby... i wszystko to w kształcie częstokroć zbytkownych, a rzadko pożytecznych przedmiotów. Przyjemnie wyglądają śród tych *francuzkich* fraszek wiejskie oryginalne wyroby.

Żywotniejszą jest wystawa naftowa. Wyliczać znajdujących się na niej przedmiotów w obrębie tego listu nie mogę; lecz jak są różnorodne, można sądzić ze zbiorku Ragozina: widzimy w 206 słoikach rozmaite chemiczne ciała (płynne i stałe) dobyte z nafty. Jest to rodzaj abecadła dla ludzi, mających styczność z produkowaniem „daru minionych epok.“ Dostrzegłem parę na-

---

9)

NIEŚMIERTELNE DUSZE.

II.

AURELI WISZAR

dramat w trzech aktach

W. Okońskiego.

(Dzieje się współcześnie w Krakowie).

SCENA VII.

Ciż, Morski, Okwit i Rybałt.

Morski.

Oto główne cyfry z bilansu. Robotników uprzedziłem, że ich pan sam objaśni.

Wiszar (przeglądając papier).

Więc blisko 30,000 złr. przewyżki wydatków, a 20,000 samych długów terminowych! (*do Okwita*). Zgromadźcie się...

Okwit.

Hej, tu, do pana Wiszara!

Wiszar.

Moi kochani! Zakładając fabrykę, oprócz płacy dziennej, przyrzekłem między was dzielić jej czyste zyski, jakie się okażą w ostatnim dniu każdego roku.

Głosy.

Tak.

Wiszar.

Niestety, półrocze minione było dla nas bardzo niepomyślnem.

Głosy.

Co? Tyle papieru wywieziono!.. Wydrek mówi, że więcej niż u Kreislera.

Wiszar.

Wy widzieliście tylko, jak wywożono papier, ale nie widzieliście, jak przed nim wynoszono pieniądze. Powtarzam: półrocze to było nieszczęśliwe. Naprzód wszyscy fabrykanci, rozgniewani, żeśmy was dopuścili do uczestnictwa w dochodach, zniżyli ceny towaru o 25% w sprzedaży bieżącej i w umowach dawniej zawartych; przez pewien czas opieraliśmy się temu, ale gdy przestano u nas kupować, musieliśmy uledz. Ten spadek cen nie pozwolił nam nawet pokryć kosztów wyrobu. Dalej: współzawodnicy zaczęli tak ścieśniać nasz kredyt i osłabiać zaufanie do naszego przedsięwzięcia, że dwa banki nie chcą nam dawać pożyczek. Skutkiem tego w roku zeszłym nietylko nie mieliśmy żadnych zysków, ale nawet dotkliwe straty, sięgające 30,000 złr.

Głosy (śród wielkiej wrzawy).

Nieprawda! Oszustwo! Nic damy się okraść! Zyski są! Wydrek nas ostrzegł!

Wiszar.

Podły, kto mi nie wierzy! Zamiast wyć — sprawdźcie rachunki!

Głosy.

Pokręcone — poszachrowane! Żądamy pieniędzy, naszych pieniędzy!

Okwit.

Cicho! (*do Wiszara*). Przepraszam uniżenie: pan od swego kapitału miał pobierać z dochodów 5 procent; czy dla pana także zabrakło?

Wiszar.

Nie, ale ta suma nie należała do zysku czystego.

Głosy.

Tylko do brudnego! Ha, ha, ha! On swoje wziął, dla nas mu nie starczyło!

Wiszar.

Bądźcież ludźmi a nie stadem ryczącego bydła!

Okwit.

Cicho! (*do Wiszara*). Jeszcze raz przepraszam pana, te 30,000 złr. strat ktoś musi zapłacić, jeśli fabryka ma istnieć dalej; otóż kto?

Wiszar.

Ja.

Okwit.

Z jakiej kasy?

Wiszar.

Mojej żony.

zwisk naszych rodaków: p. Wojnicki okazuje nader dowcipny przyrząd, za pomocą którego każdy piec może być opalony ostatkami nafty. P. Wróblewski zaś— przyrząd do przesyłania znaków (sygnałów) na odległość sześciu mil. Nocą przyrząd oświeca się produktami nafty, we dnie można działać zwierciadełkiem, łamiącem promienie słońca. Ideę p. W. wziął gotową, model też przyrządu, który tuż obok stoi, kosztuje około 600 rubli—a ten zaledwie 60 — działanie jednakowe.

Leży przede mną Sprawozdanie z 1887 roku Zarządu Katolickiego Towarzystwa Dobroczynności.

Członków honorowych, którzy ofiarowali jednorazowo niemniej stu rubli lub położyli szczególne usługi — jest 81; członków rzeczywistych, płacących 10 rubli rocznie— 348, w tej liczbie 50 takich, co za ubiegły rok nie wnieśli opłaty.

Towarzystwo ma następujące środki:

1) Sumy nietykalne, od których procent przeznaczony na wiadome specyalne cele.

2) Bieżące zasoby: opłaty członków, dochody z balu, koncertów itp.

3) Zapas, który się tworzy z odkładania 20% od bieżących dochodów.

Ogólna suma wydatków w 1887 r. wynosi około 22,400 r. kapitał Towarzystwa w początku bieżącego roku — 83,750 rs. w tej liczbie: sum nietykalnych 65,350 i zapasowych 12,000 rs. Z ilości zapasu widzimy, że w ciągu trzechletniego istnienia Towarzystwa bieżących sum wpłynęło 60,000 czyli przeciętnie po 20,000 na rok; a ponieważ w 1887 roku ów dochód wynosi zaledwie 16,872 rs. — logiczny wynik, że żarliwość naszej cząstki społeczeństwa stygnie.

Dowodów w tym względzie dostarcza samo Sprawozdanie: przybyło członków 74, ubyło 118, nie wniosło opłaty 50; i tak, w ciągu roku 44 straconych i 50 chwiejnych członków.

Podług ustawy ogólne zgromadzenie obraduje raz na rok. Odbyło się ono w końcu ubiegłego miesiąca. Członków zebrało się 116. Na prezesa zgromadzenia wybrano senatora Gartkiewicza.

Po przeczytaniu Sprawozdania dr Ważyński wystąpił z projektem, ażeby ogólne zebranie odbywało się częściej, niż raz na rok, gdyż członkowie, mając z zarządem więcej styczności, mniej tłumnie opuszczaliby Towarzystwo.

Objaśniono p. W., że jego wniosek naprzód sprzeciwia się ustawie, a powtóre i naturze rzeczy: im częściej odbywałyby się zgromadzenia, tem mniej członków zwiedzałoby każde z nich. Wnioskodawca stał jednak przy swojem, aż udowodniono mu, że nie ma prawa czynić wniosków, gdyż nie wniósłszy za ubiegły rok opłaty, nie należy do liczby członków (o rety!). Dr Zdekauer radził, ażeby oprócz honorowych i czynnych członków, ustanowić trzeci rodzaj (żarliwych), których roczny wkład nie przenosiłby 3—5 rub.

Wniosek w zasadzie dobry, lecz także wymaga zmiany ustawy. Dostrzeżono w nim inną słabą stronę: jeżeli zasobni członkowie płacą nieregularnie, biedniejsi będą potrzebowali energiczniejszych napomnień i łowczego, coby z księgą w ręku obiegał miasto i wyszukiwał dobrowolnych dłużników.

Niektórzy dopatrzyli w odrzuceniu tego wniosku chęć ustrzeżenia Towarzystwa od tłumnego napływu demokracyi.

P. Piltz wystąpił przed zgromadzenie i powtórzył wniosek p. Zd. Objaśnienie po raz drugi nastąpiło. Nareszcie zarząd zdecydował, ażeby projekty podawano na piśmie; po rozpatrzeniu na sesyach, będą one przedstawiane, dla roztrzygnięcia, ogólnemu zgromadzeniu.

Po ukończeniu pogawędek, zabrano się do wyboru członka zarządu. Większą ilość głosów otrzymał adwokat Knoll, poczem wybrano dwie opiekunki i trzech opiekunów; ich zadaniem jest: zwiedzać biedne zakątki, odróżniać nieszczęście od lenistwa i przed obliczem zarządu być orędownikami nędzy. Ciężar, jak widzimy, wymagający wiele poświęcenia, miłości ku bliźniemu i badawczego umysłu. Każdego z opiekunów możemy porównać do dzwonu: wówczas coś znaczy, gdy ma serce — inaczej wysokie stanowisko na wieży, zamiast przynosić zaszczyt, uwydatnia ułomność.

Niektóre panie w wędrówkach po przybytku nędzy wyręczają się młodzieżą—i dobrze czynią: sobie oszczędzają nerwów, a idea Towarzystwa na tem zyskuje. Młodzież rzadko da się podkupić słodkiemi słówkami, lub szumnymi wyrazami pokornych hultajów—i głębiej zbada jądro sprawy. Wobec pań człek z szorstkim charakterem, wypadkowo przygnieciony nędzą, stanie niżej od pochlebiającej służki i zrezygnowanej dewotki.

Wybór syndyków odbędzie się w jesieni (nie w marcu—jak pisałem). W tym względzie krąży smutna nowina: jeden z teraźniejszych syndyków p. Zab...., który jest godnym następcą pp. Zed... Joch... Gart... ma stanowczy zamiar opuścić swe stanowisko, ponieważ... wieża Babel upomina się o swe dawne kształty.

...I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Amen.

Wsewołod Garszyn, bezwątpienia najzdolniejszy nowelista ruski, zakończył życie. W przystępie obłąkania rzucił się ze schodów swego mieszkania. Umiał kochać — cierpiał wiele.

N. B.

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA.

Hirschberg Aleksander: *Hieronim Łaski.* Lwów, 1888, 8-o str. 323.

Historyografia okazała się bardzo wspaniałomyślną dla Łaskich. Kiedy napróżno oczekujemy dotychczas na monografię o takim Janie Zamojskim, Łascy: założyciel potęgi rodu — prymas, synowcowie jego: Jan, Hieronim, Stanisław; syn Hieronima— Olbracht wywołali w literaturze niemieckiej i polskiej mnóstwo artykułów i rozpraw. Zajmowali się nimi z cudzoziemców: Dalton, Zeissberg, Schweckendieck, Bartels, Knyper; z krajowców Malinowski, Walewski Cypryn, Hubert, Korytkowski, Kraushar — uogólnił badania wszystkich w rozprawie p. t. *Rodzina Łaskich* (*Ateneum* z r. 1882 i 1883) Zakrzewski. O konieczności zbadania działalności prymasa i sławnego reformatora kościołów, Jana — wątpić nie można; nie bez pożytku pozostaną dla nauki i życiorysy: Stanisława, Hieronima, Olbrachta; lecz czy sami bohaterowie zasłużyli na szczególne wyróżnienie z szeregu istotnych znakomitości, których w stuleciu XVI taką mamy obfitość? Niemiłej niewątpliwie deziluzyi doświadczył Kraushar, gdy na dnie działalności Olbrachta nic więcej nie znalazł prócz junackiej brawury; z tem samem prawdopodobnie uczuciem złożył pióro po dokonaniu mozolnej pracy p. Hirschberg.

Głosy.

Ha, ha, ha! On nie schował naszych pieniędzy, bo żonie oddał!

Wiszar.

Który z was to powiedział!

Głos.

Co tam który, wszyscy! Nie wszyscy — tylko Pędrak Kukuryku! Ha, ha, ha! Fiuuu! (*gwizdanie*).

Okwit.

Cicho! (*do Wiszara*). Ja zrobię zgodę: skoro pani ma pieniądze, to niech państwo będą łaskawi zwrócą nam przynajmniej tyle, ileśmy na rachunek zysków pożyczyli. Każdy spodziewał się coś dostać i każdy naprzód wydał. Obliczy się to razem, wypłaci — i skwitujemy za rok przeszły zupełnie.

Głosy.

Tak, tak! Niech żyje Okwit! Mądrze poradził! Od tego nie odstąpimy!

Wiszar.

Okwit bredzi! Byłoby to niesłusznem, ażebyśmy nagradzali waszą lekkomyślną rozrzutność, i niemożliwem, bo nie posiadamy tyle kapitału.

Głosy.

Żona znajdzie! Wreszcie poszukamy!

Rybałt.

Między nami są nieswoi!

Głosy.

Co on plecie? Gdzie?

Rybałt.

Ot tam! Z fabryki Kreislera!

Głosy.

Są, ale do nas nie wtrącają się!

Rybałt.

Krzyczą pierwsi, wy — za nimi!

Głosy.

Łżesz, stary mule! Nasze zyski — my żądamy!

Rybałt.

Wy, psie syny, wy, których ten pan i jego żona uszczęśliwić chcieli? Wy zbiry, których oni w swej bezdzietności za synów swoich przysposobili? Wy, którzy z ich łaski używaliście wygód, nigdzie robotnikom nieznanych? Wy pijanemi gębami bezcześcicie tego dobroczyńcę za to, że mu jego i nasi wrogowie pętlicę na szyję zarzucili? To wasza wdzięczność! Won kundle, co szczekają, zastąpią ich ludzie, co umieją szanować zacną wolę!

Głosy.

Won ty, pański lizusie! W kocioł tę starą szmatę!

Inne głosy.

Rybałt dobrze mówi! (*wbiega Wydrek, prowadząc dwu robotników*).

SCENA VIII.

Ciż, Wydrek i jego towarzysze.

Wydrek.

Wygrali... Samczuk 1,000, a Koralik 500 guldenów! Zobaczcie (*robotnicy otaczają przybyłych, którzy im pokazują pieniądze*).

Głosy.

Prawda! 1,000 papierków! Tam rzetelnie idzie!

Wydrek.

Albo to tylko oni? Oni wygrali w fabryce perkalu, a inni w papierni i w browarze! Dziś było ciągnienie we wszystkich fabrykach pana Kreislera! Muszą z nami obląc los. No, a co my tu dostaniemy?

Głosy.

Polewki z wypranych gałganów! Klusek z tektury! Zyski schowały się do żony pana Wiszara!

Wiszar (*porywając jednego z robotników*).

Milczcie, paszcze nikczemne, bo was podławię!

Wydrek.

Oho, pan zaczyna nam wypłacać zyski pięściami.

Gromada robotników (*okrążając Wiszara*).

Wara od bicia!

Wychowywał się Hieronim na dworze stryja, prymasa; jego też staraniem wraz z bratem Janem wyjechał w r. 1513 do Rzymu, a następnie dla studyów naukowych do akademii bonońskiej. W r. 1527 odbył podróż do Jerozolimy, poczem wrócił do kraju, ożenił się z dziedziczką rozległych majątków Anną Kurozwęcką, został krajczym koronnym, wojewodą inowrocławskim, a następnie sieradzkim. W 27 roku życia zajmował już jedno z wyższych miejsc w radzie królewskiej, a przy zdolnościach i wpływach stryja do najwyższych miał otwartą drogę zaszczytów. Karyerę dyplomatyczną rozpoczął w r. 1520 poselstwem do Franciszka I i Karola V, w celu zawarcia z pierwszym przymierza, a pozyskania poparcia drugiego w wojnie, którą Zygmunt I rozpoczął z Zakonem. Pomimo tego, że się z zadania wywiązać dobrze nie umiał, w trzy lata później odprawia drugą w sprawie biskupstwa płockiego misyę do Rzymu; w 1524 znowu do Franciszka I, z którym zawarł w imieniu króla polskiego traktat w celu niedopuszczenia domu austryackiego do korony węgierskiej i czeskiej.

Panującym w charakterze Hieronima rysem była niesłychana ambicya, niczem niepohamowana żądza rozgłosu i władzy. Wzrost szybki dzięki łasce Zygmunta I, zamiast zaspokojenia pragnień, nadał im rozmiary szalone. Zdawało mu się, że za prace publiczne niedostatecznie został wynagrodzony, że go król nie umiał należycie ocenić; w zaślepieniu dochodził do tego, że nie wahał się wyrzekać na niewdzięczność Zygmunta. Z drugiej strony, dla osobistości takich, jak Hieronim, ówczesne stosunki w Polsce nie przedstawiały warunków, w których mógłby znaleźć odpowiednie dla siebie pole działania: na to potrzeba było państwa ze śmiałą polityką lub zagrożonego wojną, a wiadomo, że Zygmunt I wielkich hazardów unikał starannie. Otóż pragnienie wynalezienia odpowiednich usposobieniu swemu warunków w połączeniu z ruiną majątkową, wywołaną przez szaloną rozrzutność, pchnęło Łaskiego na dwór Zapolyi, walczącego o tron węgierski z Habsburgiem. Jeździł od Zapolyi w misyi dyplomatycznej do Francyi, Anglii i Danii w celu uformowania związku przeciwko domowi rakuskiemu; w Konstantynopolu zawarł z Solimanem korzystne dla nowego pana swego przymierze; zabiegał około zjednania dlań pomocy i w Polsce. Walczy przeciwko antagoniście Zapolyi, Ferdynandowi, intrygą i mieczem; kilkakroć jedzie do Konstantynopola, Anglii, Francyi i Niemiec; niezmordowaną, słowem, rozwija czynność. Zostaje w nagrodę hrabią spiskim i wojewodą siedmiogrodzkim, otrzymuje dochody opactw i szereg dóbr w Węgrzech północnych. Nie zaspakajało przecież to wszystko burzliwca: jak niegdyś na Zygmunta, wyrzeka na niewdzięczność Zapolyi i... w stosunki tajemne wchodzi z dworem wiedeńskim. Odsiedziawszy za przeniewierstwo więzienie, uwolniony za staraniem krewniaków i wpływem króla Zygmunta, wszedł Łaski w służbę Ferdynanda. Po licznych przygodach umarł w. r. 1541 na zamku kiezmarskim.

„Wśród takich usiłowań — kończy swe dzieło p. Hirschberg — spłynęło życie tego człowieka, dla którego żądza sławy i bogactw była jedyną gwiazdą przewodnią. Kierując się wlącznie swą ambicyą prawdziwie szaloną, był on niemal prototypem tych później, niestety, tak licznych magnatów naszych, którzy mieli swą oddzielną politykę i przedewszystkiem dążyli do wyniesienia swojego rodu, bez względu na sprawę publiczną, a częstokroć nawet z największą szkodą Rzeczypospolitej."

Zużył p. Hirschberg dla napisania życiorysu Łaskiego mnóstwo zabiegów po archiwach krajowych i obcych, dużo mu poświęcił wiedzy i czasu. Z obfitością materyału połączył metodę krytyczną, przez co właściwej biografom wady idealizowania bohaterów szczęśliwie uniknął. Zresztą ulokował autor osobistość Łaskiego na tle stosunków dyplomatycznych Polski z Turcyą, Węgrami, Austryą i Francyą, przez co dzieło jego przekracza granice zwykłej biografii i na wartości zyskuje.

Sm.

PROCESY DZIEJOWE.

II. Ascetyzm a życie społeczne.

W artykule poprzednim skreśliliśmy podścielisko filozoficzne, z którego wyrastają praktyki samoumartwiania. Mianowicie, zagnieżdżają się one wśród człowieczeństwa od chwili zwalenia nieokrzesanego monizmu pierwotnego. Obecnie wykażemy bodźce, pod których wpływem wzmagała się lub opadała fala ascetyczna; zatrzymamy się jedynie na czasach historycznych, gdyż tylko w ich zakresie mamy do czynienia z rozterką wewnętrzną, tą przyczyną najważniejszą wzrostu i rozwielmożniania się ponurej filozofii samodręczenia.

Jeżeli uwzględnimy, iż organizacya ludzka musi spełniać wyryte w jej ukształtowaniu psychiczno-fizyologicznem przepisy pod groźbą rozstroju, dochodzącego aż do szału, oraz, iż społeczeństwo, dla swego istnienia i rozwijania, musi opierać się na jednostkach zdrowych, zrozumiemy, iż teorya umartwienia, jakkolwiek może stanowić część nieodłączną kultu religijnego i nawet spoczywać w osnowie filozofii odpowiedniej, lecz w normalnym biegu społecznym jakby nie domawia swych wymagań. Praktyki sprowadzają się do chwilowych, stale określonych przez kult okresów wstrzemięźliwości lub ograniczają się do pewnych szczególnych gron społecznych; zresztą w obu tych razach kazuistyka ludzka umie pogodzić formę ascetyczną z treścią zgoła odmienną. Ascetyzm pozostaje w stanie napiętym i tlejące w społeczeństwie zarzewie jego wybucha silniej podczas klęsk przyrodzonych, jako środek przebłagania najwyższych kapryśników. W tłomaczeniu tych nieszczęść uwidoczniają się poglądy pierwotnego człowieka w staroczesnej, naiwnej postaci; jedno tylko ogniwo wypadło z rozumowania, spotykane u dzikich, mianowicie wyjaśnienie, jako „nadprzyrodzeni" wszechwładcy oburzają się dlatego, iż człowiek, zamiast ofiarowywania im cząstki dóbr doczesnych, sam ją pożera i zamiast wykazywania bezustannie swej uniżoności, o nich chwilowo zapomina. „Reges tremendae majestatis" zsyłają od czasu do czasu dżumy, co porywają (jak zaraza XIV w.) czwartą część ludności, w niektórych zaś miejscach unoszą nawet wszystkich mieszkańców; sprowadzają nieurodzaje, siejące śmierć z głodu, lub powodzie, niszczące dobytek. W takich to chwilach, z pośród tłuszczy wychodzą ponure postacie, przejęte całą zgrozą chwili i wywołujące zapomniane widmo skruchy. Wieki średnie Europy przedstawiają mnóstwo tego rodzaju epizodów. Zwłaszcza ponura kilkowiekowa tragedya rozpoczyna się tysiącznym rokiem. Z jego nastaniem miała uderzyć ostatnia godzina dla tego „nędznego padołu płaczu." Schyłkowe miesiące roku poprzedzającego były widownią posępnych zdarzeń. Zaprzestano pracy, bo po cóż siać, budować, troszczyć się, jeżeli wkrótce nastąpi „dzień on, dzień sądu Pań-

---

Morski (*odciągając Wiszara*).

Niech pan się nie naraża...

Wiszar.

Zgiń zgrajo ohydna!

Wydrek.

Zgińmy, kiedy pan każe. Za mną, do fabryki, przecież to nasza! Zabawimy się w niej! (*odchodzi z większością robotników*).

Rybałt (*zatrzymawszy gromadkę — do Okwita*).

Teraz ich okiełznaj, kiedyś znarowił...

Okwit.

Albo to ja...

SCENA IX.

Wiszar, Morski, Rybałt i jego towarzysze, później Justyn.

Rybałt (*do zgnębionego Wiszara*).

Panie kochany, pluń za tymi zbójami.

Morski.

Rozpędzimy ich jak stado kruków.

Justyn (*wpadając*).

Panie Aureli, Aureli, Cecylia umarła! (*odbiega*).

Wiszar (*drgnąwszy*).

Grób rozwiera się przede mną bezdenną otchłanią... Cecylia umarła. Słyszysz ojcze? Umarła. Regino droga, marzenia nasze także konają... Co to? Fabryka się pali! Zbrodniarze! (*dym bucha oknami fabryki, około której krzyczą robotnicy*). Ratujmy! (*biegnie z Rybałtem i jego towarzyszami*).

Morski.

Panie Wiszar, panie Wiszar! (*spieszy za nim*).

SCENA X.

Okwit i paru robotników.

Okwit (*do towarzyszów*).

Odgrażali się, ale myślałem, że tylko gębują.

Robotnik 1.

Nadpili trochę...

Robotnik 2.

Wydrek psia kość ich rozjuszył.

Robotnik 3.

Niech teraz da nam robotę.

Okwit.

Kreisler przyjmie nas kupę, inni — reszta...

Robotnik 2.

Kryminał także miejsca nie odmówi...

Robotnik 1.

Przecież my nie podpalali.

Robotnik 3.

A skąd wiesz, czy cię jaki tchórz do swego języka w strachu nie przylepi?

Robotnik 1.

Prawda.

Okwit.

To też chodźmy ratować i nie będzie gadania.

Robotnik 2.

E, trzeba było Wydrka przegonić.

Robotnik 1.

Pan Wiszar dobry człowiek.

Robotnik 3.

Poczciwy.

Okwit.

Za mną chłopcy, w ogień! (*biegną do fabryki — wpada Regina*).

SCENA XI.

Regina sama, później Rybałt.

Regina.

Fabryka gore!.. Fabryka nasza!.. Ręka przypadku, czy zbrodni niszczy to ciało naszych marzeń... Straszny widok! Och! Ogień jak furya tańczy, śmieje się, rozpuszcza przez okna swoje płomieniste warkocze... On nie parzy mnie, lecz mrozi, jak gdyby lodowa góra płonęła w blaskach zorzy... Gdzie Aureli?.. Czemu te ciemne postacie, robotnicy wyglądają mi jak szatani tańczący w łunie piekła?.. (*słychać wzmagający się krzyk*). Co to za przeraźliwe wołania? Nogi mi do ziemi przywierają, iść nie mogę...

skiego,“ kiedy „król tronu straszliwego świat w prochy zetrze“? Z odurzonych obawą gawiedzi dobywają się obłąkańcy, przebiegający kraj w okrwawionych włosienicach i z ponuremi pieśniami, katując po drodze własne półobnażone ciało, co nietylko nie uśmierzało, lecz raczej podniecało pożądliwość chuciową. Orgia splata się z pokutą, chciwość z największem wypieraniem się „osła,“ tj. ciała. Jedni rozdawali mienie, drudzy je rabowali. Zbliża się wreszcie wieczór Sylwestrowy, i obłąkaniec rozpusty i obłąkaniec wstrzemięźliwości spieszą do świątyń, by w skrusze ujrzeć majestat „sądu pańskiego.“ Atoli zamiast końca świata, „miłosierne“ niebo zesłało straszne wiekowe zarazy, nieurodzaje i głody z wszystkiemi okropnościami fizycznego i psychicznego rozstroju... Lecz, mimo wszystko, epoki klęsk takich, jakkolwiek wzmagają wyjawy ascetyczne, są wszakże w tej mierze względnie jałowe. Człowiek jęczy, wie przecież, gdzie zawiera się źródło jego cierpień i ma nadzieję wybawienia. Rozterka wewnętrzna jest słabą i nie przedstawia żywiołów nie do przejednania. Każdy uświadamia, iż z przejściem klęski skończą się jego cierpienia. Nie tak bywa w epokach historycznych, gdy staroczesne osnowy pożycia społecznego rozprzęgają się bez zarysowywania innych stosunków i sama społeczność przedstawia gnijące cielsko bez posiadania dostatecznej ilości zdrowych pierwiastków, człowiek zaś upada pod ciężarem potworności społecznych, w których powstaniu i istnieniu nie uzmysławia sobie przyczyny złego. Źródło jego cierpień pozostaje zagadką. Właśnie taki obraz przedstawiają oparte na kastowości ustroje hinduskie z doby powstawania budyzmu i organizmy społeczne, zjednoczone pod wszechwładzą Cezarowskiego Rzymu. Historya dostarcza nam obfitego zwłaszcza materyału w ostatnim przypadku. W. Hugo w jednym utworze kreśli obraz, przerażający swą dziką potęgą. Potwór morski o głowie, z której wyrasta mnóstwo ramion-macków, opętuje ofiarę licznymi splotami i wżera się tysiącami ssawek. Przedstawmy sobie, iż drapieżnik ów znajduje organizm, do którego może się przyczepić na stałe, jako pasorzyt; natura jego ulega zwyrodnieniu, jak u owych samców niektórych robaków, żyjących na tułowiu samicy i przedstawiających po prostu gębę i torbę nasienną bez zdolności ruchów samodzielnych, jakkolwiek nie nie tracą z swej drapieżności. Lecz nie dość tego; pasorzytniczy organizm Rzymu nie zawsze sadowił się na zdrowych tułowiach; przeciwnie, tu i owdzie wżera się w innych pasorzytników, niemniej wynaturzonych. Prowincya trupieszeje wskutek wysysania jej soków i rozprzęgania ojcowskich instytucyj, stolica znowu szaleje z nadmiaru i przesytu. Pryskają wszelkie spoidła społeczne. Społeczności rozkładają się na atomy, miotane przez burzę życiową, lecz na swe nieszczęście, przynajmniej w osobie niektórych jednostek, przejęte zapowiedziami, co zostały skreślone przez dziadów w innych warunkach. „Wielkie ryby w wodach pożerają drobne; wielki bóg, skoro tak urządził wody, chce tegoż dla ziemi“ — ta etyka rozkładających się rodowości murzyńskich wyraża i ówczesny stan rzeczy. Łaknienia ciała, którym tylko za tę cenę można uczynić zadość, wchodzą w starcie z oddziedziczonemi uczuciami i przykazaniami. Można tamte zaspokoić, lecz z pogwałceniem wszelkich zasad uznanej sprawiedliwości; można znowu uszanować zakony subjektywne, ale za to wypada upadlać się. Człowiek, nie uświadamiając żywiołowych potęg społecznych, co dzięki obcemu najazdowi i własnemu rozbojowi wywiązały się i doprowadziły do takiego stanu, widzi przyczynę w niepielęgnowaniu kultu, skażeniu charakterów, rozwielmożnieniu namiętności. I oto, po za gawiedzią spodloną robaków, toczących gnijącą społeczność z rozkoszą plugastwa, ukazują się jakieś dziwne typy. Atoli niewielu znajdziesz tu szermierzy, ufających w możliwość wywalczenia lepszego jutra społecznego i rzucających się w wir zapasów w imię „sprawiedliwości“ ziemskiej. Wyrazicielem epoki zjawia się raczej ów szaleniec jerozolimski, który w jedno święto Namiotów począł nagle wołać: „biada miastu, biada świątyni!“ i odtąd, aż do zgonu, przez lat siedem w nocy i dniem, w święta i czas powszedni, powtarzał bezustannie swój okrzyk. Żadne słowo inne nie wyszło z ust jego: wszystkim, nań się skarżącym, złorzeczącym mu i karmiącym go, odpowiadał złowieszczem: „biada miastu!“ Nawet i podczas chłosty, i w obłężeniu, i w chwili śmierci, nie zaznał innego wyrażenia bólu... Na całej przestrzeni państwa wydobywają się postacie nie „z tego świata.“ Wszystko, co wydała antispołecznego obumierająca Grecya, co wyłoniła gnijąca w mistycyzmie Persya, co zrodziła mędrkująca scholastyka Egiptu, wszystko to zmartwychwstaje, jednoczy się, wybucha hasłem: „precz ze społeczeństwem!“ Sposób wypowiadania bywa różny, stosownie do widnokręgów filozoficznych. Ludzie nauki, trzeźwego a chłodnego umysłu, jasno zaglądający w przyszłość, nie widząc ratunku, przywdziewają szatę stoicyzmu i z pogardą oczekują chwili, gdy fala rozkładowa zatopi i ich w odmęcie. „Ciało jest brzemieniem i karą dla ducha, uciska je bowiem i trzyma w uwięzi,“ głosi ich nauka. Inni niezdolni do analizy wskutek potężniejszych zasobów uczuciowych, nie znoszą widoku powszechnego zamętu, wobec którego tracą głowę, wskrzeszają wśród odosobnienia tradycyę niepodległego się epikureizmu. I ci i tamci rozprawiają o etyce — indywidualnej, dbają o czystość — osobistą, lecz odrzucają wszystko, co tchnie rzeczą publiczną. Na Wschodzie znowu, pod wpływem dualizmów religijno-kosmogonicznych, podnoszą się inne doktryny. Zastosowano złowrogą filozofię wiekuistej walki pomiędzy pierwiastkami złego a dobrego do życia i społeczeństwa. Sekty tajne, pełne wyjawów patologicznych, w nieprzeliczonej ilości nurtują społeczeństwo i szerzą mistyczną negacyę doczesności. Ciekawe są zagadnienia, poruszające gnostyków i manichejczyków, dwie najfilozoficzniejsze grupy owego umysłowego zaćmienia. Jakim sposobem wyobrazić sobie można stworzenie? Czyż Bóg, duch czysty, mógł być stwórcą tak przeciwnego jego istocie świata materyalnego? Jeżeli Bóg jest doskonały, skąd pochodzi zło i tak uderzająca różność natur, od najszlachetniejszej aż do najniższej? Pytania powyższe zdradzają wyraźnie swe pochodzenie — chęć wyjaśnienia rozterki etyczno-społecznej. Przyjęto wieczystość obu pierwiastków, różniono się jedynie w kreśleniu ich genezy, lecz za to jednogłośnie zgodzono się, jako ciało z jego namiętnościami jest wcieleniem złego. Wszystkiemi siłami podążano do wyzwolenia ducha z tego jarzma. Gdy niektórzy jęli się ratowania czystości ducha drogą zdeptania żądzy, inni mistycy oddali się najwyuzdańszej rozpuście w celu unicestwienia powłoki materyalnej. Rzucono przekleństwo i na społeczność, jako organizacyę, wśród której człowiek zaspakaja łaknienia ciała; wśród tych sekciarzy nadaremnie byśmy szukali zarysów lepszego ustroju; znajdujemy jedynie negacyę lub obojętność względem wszelkiego. „Królestwo moje nie z tego świata“ — powiada mistrz chrześciaństwa, sekty, należącej do umiarkowańszych. Odprańcy społeczni stwarzali wprawdzie własne pożycie gromadzkie, lecz owe „rzeczypospolite

---

Rybałt (*goniąc Wydrka*).

Nie ujdziesz!

Wydrek (*uciekając*).

Niech ujdę, to ci łba nie rozbiję.

Rybałt.

Ha!

Regina (*zatrzymuje Rybałta*).

Kogo gonicie? Gdzie pan? (*Wydrek znika*).

Rybałt.

Pani zacna, on powinien ci odpowiedzieć, nie ja... Bodajby mu ten wyraz górą z gęby się wydobywał i nigdy wyleźć nie mógł!

Regina.

Gdzie mąż mój?

Rybałt.

Tam! (*wskazując na fakrykę*).

Regina.

Skąd ten pożar?

Rybałt.

Podpalili zbrodniarze, podpalili... Pan pobiegł ratować, wpadł do fabryki, chwycił Wydrka rozrzucającego w suszarni ogień, zbirowi skoczyli na pomoc jego pijani towarzysze, rozpoczęła się bitwa... Skrzyknąłem kilku robotników... Z nimi p. Morski... Rzuciliśmy się do suszarni, ale niepodobna było niczego widzieć, dym się skotłował, ogień ściany lizał... Naraz Wydrek wyleciał... chciałem go ująć... wydarł się... Poleciałem za nim, bo to on...

Regina.

Zatem nie wiecie, gdzie mój mąż?

Rybałt.

Tam... tam... został.

Regina.

Może zginął?! Człowieku, po co mnie swojem opowiadaniem zatrzymujesz! Ale nie! Ja go zaraz zobaczę, aby tylko się nie poparzył... Prowadźcie... (*rozpaczliwie*). Aureli!.. odezwij się! (*biegnie ku fabryce, od której dąży Morski*).

SCENA XII.

Ciż i Morski.

Regina.

Gdzie on... Aureli... powiedz mi pan... pokaż... prędzej!..

Morski.

Nie chodź pani... kotły pękają... rozrzucają zarzewie...

Regina.

Ale gdzie on — pytam!

Morski.

On... tam... w tym płonącym... grobie.

Regina.

Co — co — co? Zabity — zginął — spalił się? Co — co? To już stało się, nieodwalnie, niewątpliwie stało się? Co?.. (*milknie i chwieje się*).

Morski (*podtrzymując ją z Rybałtem*).

Pani byłaś zawsze rozumną i mężną...

Regina.

Poczekajcie... poczekajcie... będę... oh!.. niech ten szalony wir ludzi i rzeczy uspokoi się... W co to ja mam uwierzyć? Ach... że ogień jednem skrzydłem ogarnął moją przeszłość, drugiem — przyszłość... Wspomnienia i nadzieje palą się... Ale śród nich on stoi i patrzy uśmiechnięty. Aureli, Aureli, Aureli — to ja — tu — kochanku mój! Puśćcie mnie do niego!..

Morski.

Usiądź pani (*prowadzi ją do ławki*); odpocznij...

Regina.

Mnie pan trzymasz, a jego nie mogłeś?.. Odpędźcie tę zgraję potwornych duchów, które szczerzą zęby urągliwym chichotem i przypominają mi, że mnie prosił, ażebym go strzegła... Precz, widma szpetne!.. Ja go kochałam i tylko na chwilę odeszłam, ażeby do snu wiecznego ułożyć jego siostrę. Precz! Tu nikogo więcej nie ma, tylko wy dwaj, moi przyjaciele. Prawda?

Morski.

Tak.

„anielskie" miały właśnie na celu wyzucie ducha z pod panowania ciała i stanowią najenergiczniejsze zaprzeczenie społeczności realnej. O potędze ówczesnych żywiołów ascetycznych mogą nam dać pojęcie dzieje chrześciaństwa — doktryny, co zatryumfowała nad innemi, ponieważ od początku poprzestała na umiarkowanem zaprzeczeniu chuci, mogła więc wejść w kompromisy z istniejącemi formami własności, rodziny i państwa, oraz wystawiła w nauce o równości pozagrobowej ponętę dla licznych umysłów. Otóż pierwsze chwile upłynęły w apostolowaniu; energia sekciarzy znajdowała tu wyładowanie bez wzbudzania innych łaknień; zresztą i skład gmin ówczesnych pod względem charakterów był dość jednolity. Ale liczba wierzących wzmaga się i, co jest najważniejsze w rozwoju psychicznym sekty, głoszenie wiary nie pochłania już sił wszystkich uczestników. Energia życiowa szuka innego ujścia. Wskutek zwiększenia różnic w temperamentach i ustaniu dawnego trybu ich hypnotyzowania, w opartych na umiarkowanem umartwianiu „gminach anielskich" ukazują się dążności rozkładowe: jedni poczynają folgować popędom, drudzy natomiast obierają drogę krańcowego ascetyzmu. Spostrzegamy to rozdwojenie już w II w. w doktrynie montanistów, głoszącej zakazanie powtórnych ślubów, zwiększającej ilość i natężenie postów obowiązkowych i wreszcie piętnującej studyowanie nauk świeckich i unikanie męczeństwa. Oportunizm, właściwy przewodnikom wyznania, napiętnował ich jako — odszczepieńców. Przeczuwano bowiem, iż wystawiwszy podobne żądania za normę ogólnego postępowania, skazuje się sektę na los krańcowych gmin gnostyckich. Za to z otwartemi rękami powitano samoumartwiaczy-pustelników z następnego stulecia, którzy byli na tyle rozsądni, iż dbali przedewszystkiem o siebie i acz zalecali, lecz nie narzucali swego zachowania kościołowi. Prąd pustelniczy wzrasta epidemicznie bądź pod wpływem rozkładu społecznego, bądź wskutek prześladowania religijnych. W połowie III w. widzimy zaledwie pojedyncze jednostki; po kilku dziesiątkach lat pustynie Wschodu roją się odprzańcami ciała i społeczeństwa. Pachomiusz z siostrą i przyjacielem zgromadzili w Wyższej Tabaidzie około 5 tysięcy ascetów, Ammon przepełnił klasztorami inną prowincyę Egiptu, Hilaryon rozwinął życie ascetyczne w Palestynie, pustynia Gazy liczyła sama przeszło 3 tysiące, Syrya stała się drugą Tebaisą... Podróżnik jeden w pewnem mieście egipskiem w r. 356 widział 10 tysięcy mnichów i 20 tysięcy mniszek!

(D. n.).

Lud. Krz.

LITERATURA I SZTUKA.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI *).

I.

Ktokolwiek po raz pierwszy staje przed nowym obrazem Matejki, musi początkowo uczuć zamęt w głowie, trudny do uśmierzenia. Przed oczami stłoczy mu się cały tłum splątanych ze sobą postaci, silnych, jędrnych i wyraziście namalowanych bez względu na to, czy są one pierwszo-, czy drugo-, czy trzecioplanowe. Główną osobę, bohatera zwykle zasłania mnóstwo ozdób podrzędnych, trudno uchwycić jądro sceny, trzeba się dłużej namyśleć i rozpatrzyć, by módz sumiennie orzec, którą część malowidła, którą grupę artysta za pierwszą i najważniejszą uważa. Podobnie przedstawiają się nam dzieje narodu, literatury lub życie pojedynczego człowieka, gdy należą do przeszłości niedalekiej, gdy oddziela nas od nich nie lat długi szereg, lecz jedno wczoraj, kropla w wieczności morzu. Wtedy rolę ozdób, dekoracyj i figur pobocznych, spełniają stronnicze uprzedzenia, często też aureola doskonałości, którą społeczeństwo słusznie lub mylnie skroń swych ulubieńców ozdabia, niemożność korzystania z dokładnych źródeł i mnóstwo innych szczegółów czysto osobistej natury.

Wśród dzisiejszego pokolenia krytyków naszych nikt bardziej nie ma prawa już teraz wygłosić swego zdania o Kraszewskim, jak Piotr Chmielowski. Lecz i on czuje, że mógłby znaleźć się w położeniu wędrowca, któremu całość pewnej okolicy każą ogarnąć z niziny, nie pozwalając wejść na wyniosłą górę lub wieżę. To też w przedmowie, napisanej wtedy, kiedy jeszcze w naszych uszach nie ucichły jęki pogrzebowych dzwonów, rozpłakanych nad trumną wielkiego pisarza, powiada, że ta książka „nie jest wynikiem pracy z ostatnich tylko ośmiu miesięcy, jakie od śmierci Kraszewskiego upłynęły, ale całych lat dwudziestu," ponieważ nigdy przez cały czas ów nie tracił z oczów działalności nieboszczyka. Przeciwnie, prócz notatek, dla prywatnego gromadzonych użytku, pisał on dużo wzmianek i rozbiorów jego powieści, a nawet drukował obszerniejsze studyum o pierwszem dziesięcioleciu działalności Kraszewskiego.

Nie usiłował wyczerpać „tak ogromnej, tak zdumiewającej kopalni, jaką stanowią pisma Kraszewskiego;" postawił sobie cel skromniejszy — pominął stronę estetyczną utworów powieściopisarza, który zaciekawia go więcej „pod względem psychologicznym i społecznym;" wykazał wewnętrzny rozwój jego ducha w związku przyczynowym z wydatniejszymi szczegółami życia; chodziło mu „o pochwycenie przeważnych znamion jego twórczości i o ugrupowanie jej objawów nie według formuł z góry obmyślanych, ale indukcyjnie, zgodnie z rzeczywistym, historycznie wyśledzonym biegiem wypadków, wpływów, oraz zmian zachodzących w umyśle twórcy, pod skombinowaniem ich działaniem."

Szukając tedy w dziełach Kraszewskiego nie piękna, lecz tendencyi, dał nam przeważnie życie pisarza-obywatela, publicysty, podczas gdy portret artysty pozostał nieco w cieniu. Podobna metoda jak najlepiej uwidocznia i potwierdza niezbity pewnik, że Kraszewski nigdy politykiem z natury nie był, gdyż umysł jego nie odznaczał się logiczną konsekwencyą, żelazną wytrwałością i energią, a krew chłodem. Z chronologicznie opisanego żywota wnosimy, że był to umysł nadzwyczajnie wrażliwy, giętki niezwykle, żwawy i rzutki. Patrzył na świat ciągle, lecz w rzeczach, którym się przyglądał, naprzód chwytał stronę piękną lub szpetną, a w każdym razie niezwyczajną i górującą po nad inne; użyteczność czy też szkodliwość danej osoby lub danego przedmiotu obchodziły go albo bardzo mało albo były mu zupełnie obojętne.

Uciekając się do porównania, już raz użytego na tych kartach, powiemy, że Kraszewski był w stanie dzisiaj uwielbiać Robespierre'a, bo fantazyę jego porywała niezwykła oryginalność i krwawa groza. Równocześnie zaś lub zaraz nazajutrz mógł ronić rzewne łzy nad losem Ludwika XVI, gdyż umysł jego chwytał tragiczność poło-

*) *Zarys biograficzno-literacki.* Kraków. Nakład G. Gebethnera i spółki. 1888, str. 534.

Regina.

Przyjaciołmi moimi jesteście a nie pozwalacie mi iść tam... gdzie mój mąż jest... stoi... leży... co?..

Morski.

Pogódź się pani z tą myślą, że jego... nie ma.

Regina.

Nie ma! On przestał istnieć nawet jako ciało! Wszystkiem drogie istoty śmierć zabija, a mnie męża ogień pożarł! Nawet nie zostawił tyle szczątków, ile usta potrzebują dla złożenia pocałunku... Czemu on taki okrutny, czemu mnie pozbawia tego, czego najsroższy los nie odmawia tym, których unieszczęśliwia — kochanego grobu? Wy kłamiecie, Aureli jest, jeśli nie żywy, to martwy!.. Kajdanami chcecie zawisnąć u nóg moich? Kto wam dał do tego prawo? Odejdźcie!

Morski.

Czyżbym ja tu był, gdybym tam nie przekonał się, że ratować mogę tylko panią?

Regina.

Powiedz mi pan całą prawdę, niech moje serce zamknie się na zawsze jak trumna, niech ja nad nią będę żywym nagrobkiem, niech wszystkie wspomnienia mojego szczęścia roztopią się w łzy boleści. Mów pan, jak zginął?

Morski.

Później...

Regina.

Zaraz.

Morski.

Robotnicy, którzy podpalili fabrykę i na których on się rzucił, wepchnęli go do płonącej suszarni i zamknęli drzwi. Gdy wyłamaliśmy je, znaleźliśmy ciała dwu ludzi, którzy go bronili i wraz z nim zginęli...

Regina.

A on?

Morski.

Musiał pobiedz dalej, do innego wyjścia. Ogień nie pozwolił szukać... zwłaszcza że sufit się zapadł.

Regina.

Więc mój Aureli — to ten czerwony płomień, który tak złowrogo połyska, to ten czarny dym, który w przestrzeń odlatuje... Słyszycie, jak ten drapieżny ogień warczy, mruczy, skowyczy, dożera go, nie chce zostawić mi nawet włosa na pamiątkę?.. Rzućcie temu potworowi i mnie! Aureli zostań mi przynajmniej jako... dym!

Rybałt.

Pani...

Regina.

A kto ty jesteś, mój człowieku, co mnie tak pilnujesz?

Rybałt.

Rybałt, robotnik.

Regina.

Robotnik, jeden z tych, dla których żyliśmy i którzy mojego męża spalili? Wy to piękne drzewo, które was swymi owocami karmiło ścięliście i wrzucili w ogień jak krzak trującego blekotu? Bodaj każdy promień słońca stawał się drutem rozpalonym dla waszego oka; bodaj co wieczór zamiast rosy spadał na was i wasze niwy szron żaru; bodaj was dusił nieustający tuman gorącego popiołu; bodaj wasze uszy ogłuchły na wszystkie dźwięki i słyszały tylko imię Wiszara; bodaj wasze dzieci rodziły się z plamami łuny na twarzach i nieme umiały wymawiać tylko to imię! Niech skołowacieje wszelka myśl, która waszego dobra zapragnie; niech uschnie ręka, która wam jałmużnę poda; niech wasza podłość wiecznie nosi na sobie żrącą szatę nędzy!

Rybałt.

I tych pani przeklinasz, którzy w obronie twego męża życie oddali? To przecie także byli robotnicy. Im i tym, których nie uwiodły złe podszepty i którzy, gdyby mogli, łzami zaleliby ten ogień, należą się inne słowa. Złorzeczysz pani wszystkim za to, że śród nich znalazła się garść zbrodniarzów? A czy ta garść sama wyrosła, czy ją

żenia i psychologiczną burzę, jaka musiała wrzeć w piersi i falą na wpół skrzepłej z przerażenia krwi zalewać serce króla, wstępującego na szafot.

Nie politykiem więc był, jeno artystą.

Kilka rysów, świadczących o trafności powyższych uwag, pozwolimy sobie wyjąć z niniejszego dzieła, napisanego niezwykle pracowicie, z ogromnym zasobem wiedzy, na podstawie prawie wyczerpującego materyału źródłowego, gromadzonego mrówczo przez lat tyle.

Już za czasów szkolnych napotykamy u Kraszewskiego pewien objaw, znamionujący umysły artystyczne. Oto miał „brzydki zwyczaj uczyć się zawsze nie tego, co było potrzeba, ale tego, ku czemu ciągnęła fantazya i nienasycona ciekawość.“ W szkole lubelskiej naukę nieco zaniedbał, trochę hulał, trochę znowu czasu trawił na oglądanie starych zabytków, których tam nie brakowało. W Świsłoczy, dokąd go wreszcie z Lublina rodzic posłał, po raz pierwszy objawia się ta znana jego i rozgłośna gorączka pracy, owa chęć zdobycia równocześnie niemal wszystkich wyników wiedzy, owo żarliwe badanie, rozstrzelone na różne gałęzie nauki. Młoda wyobraźnia paliła się płomieniem o różowych barwach; jednego dnia chciałoby się zostać filologiem klasycznym, drugiego — słowiańskim, na trzeci znowu wabiły nauki przyrodnicze. Jedna tylko matematyka nie smakowała. I to jest również maleńki rys, potwierdzający nasze założenie. Owa chwiejność, a raczej pociąg do wszechstronności najjaskrawiej ujawnił się przy wyborze zawodu, z chwilą wejścia na uniwersytet. Wreszcie prawo i medycynę zwyciężył wydział literacki.

Atmosfera Wilna rozgrzewa młodzieńca jeszcze większym zapałem do pracy umysłowej i poszukiwań dziejowych. Była chwila, że przyszły powieściopisarz marzył o zawodzie historyka. Lecz fantazya, coraz bardziej budząca się i brzemienna tysiącem spostrzeżeń i tysiącem pomysłów, nie pozwoliła mu zostać mólem, spędzającym życie w archiwach. Studya nad przeszłością jednak przydały się później przy pisaniu powieści historycznych, a raczej posłużyły za podnietę i pobudkę.

Pierwsze kroki na niwie beletrystycznej stawiał po śladach, wydeptanych przez Skarbka i Sterne'a. Tę samą metodę tworzenia, polegającą na braniu ludzi zupełnie zwyczajnych za bohaterów, na zamiłowaniu powszedniości i chęci wydrwienia patetycznych uniesień, przepełniających romanse z początku tego wieku, zastosował także do powieści historycznych. Zwolna wpływ Sterne'a ustępuje wkrótce wpływowi Jana Pawła Richtera, Hoffmana i romantyków francuzkich. Odtąd „*siła* jakiemibądź środkami zdobyta stała się jego hasłem literackiem.“ „Brak tej siły wyrzucał wszystkim pisarzom polskim“ i doszedł do przekonania, porzuconego niebawem, że cała cywilizacya nasza i nasz dorobek są nic nie warte, że jedynym umysłem oryginalnym w Polsce był Kopernik. Przed kilku laty epigon klasyków, z przekąsem odzywający się o romantyzmie, teraz jako zwolennik teoryi, do niedawna odpychanej, przy tworzeniu stawia sobie za wyłączny cel wywołanie efektu bez względu na moralność lub jakąkolwiek tendencyę społeczną. W tym także czasie od prozy przerzuca się do mowy wiązanej. Ów zwrot wywalcza w jego utworach, przeładowanych dotychczas realizmem, miejsce dla idealizmu i częstokroć owiewa je tchnieniem marzycielskiej poezyi. Lecz z biegiem czasu owa skłonność do idealizowania staje się przyczyną zerwania z całą cywilizacyą zachodnią. Zarzucał jej Kraszewski materyalizm, epikureizm, samolubstwo, zepsucie, frymark nauką i natchnieniem. Zostaje zagorzałym słowianofilem, wolącym, że Zachód dziecinnieje dla swego podeszłego wieku, że ocalenie i ratunek ludzkości spoczywa tylko na barkach młodej i silnej Słowiańszczyzny. Pod wpływem reakcyi katolickiej, krzewionej u nas przez kółko publicystów z Michałem Grabowskim na czele, znowu przechyla się na stronę religijnej prawomyślności. Powstanie opozycyi wolnomyślnej rozluźnia natomiast owe węzły, łączące go z grupą zachowawców. Garść głów młodych, hołdujących filozofii Hegla i Trentowskiego, mimowoli pociągnęła wrażliwy umysł Kraszewskiego ku poglądom demokratyczno-postępowym, a jakkolwiek całkowicie go dla siebie zyskać nie mogła, to przecież dokonała tego, że stanął w pośrodku walczących stronnictw. Odtąd niestety ze szkodą dla swego talentu i dla społeczeństwa zbytnio umiłował ów złoty środek i do niego, niby do fortecy się chronił, gdy niegrzeczni lub natrętni o jego stanowcze zdanie w jakiejś spornej sprawie śmieli się upominać. Podobnemu ruchowi wahadłowemu podlegał umysł Kraszewskiego i w latach redakcyi *Gazety polskiej*. W tych latach gorących nie przechylał się ani na stronę białych, ani czerwonym poklasku nie dawał; raz występował w obronie Wielopolskiego, to znowu kiedyindziej ganił jego dumę i kruszył kopię za Towarzystwo rolnicze. To samo zjawisko powtórzyło się i w następnym lat dziesiątku, w czasie walki między młodą a starą prasą warszawską. I tu zajął stanowisko pośrednie, chociaż „wobec konserwatywnych i ultramontańskich dzienników podawał się za postępowca i liberała.“

Jako właściciel ziemski sam, osobiście robi chłopom rozmaite ulgi i w całym szeregu powieści stara się przedstawić ich biedę, spowodowaną uciskiem ze strony szlachty; teoretycznie zaś będąc nieprzyjacielem arystokracyi, w życiu „czuł się do nich (książąt i hrabiów) pociągniętym przez ich wykształcenie, takt towarzyski i zachowanie form wykwintnych.“

W Tygodniu, który redagował w Dreznie, ultramontanizm nazywa kosmopolityzmem, przebranym w rewerendę, widzi w nim obskurantyzm, niewolę ducha i sumienia. „Ultramontanom przypisywał, w znacznej części zupełnie słusznie, niesnaski i zatargi, wycieńczające siły społeczeństwa...“ A w roku 1879 na uczcie, wydanej w Dreznie, będącej pierwszem ogniwem długiego łańcucha jubileuszowych uroczystości, ślubował znowu „wierność kościołowi katolickiemu i głowie jego ojcu św. Leonowi XIII,“ mimo, że istniał dogmat o nieomylności papieża, który on zwalczał kilka lat temu jak najgoręcej.

W *Chorobach wieku* przestrzega kraj przed zmateryalizowaniem się, karci już nietylko gonienie za groszem, lecz nawet każdą myśl o podźwignięciu u nas stanu ekonomicznego za karygodną uważa. Na poparcie zaś swych twierdzeń używa takich argumentów, jak następujący: „Zyszcze kraj na gospodarstwie i przemyśle, ale my dla tej odrobiny zarobku wyrzeczem się siebie, i za lat sto nikt nas od żydów, od niemców i od całej rzeszy handlarskiej kosmopolitów nie pozna.“ Jakże dziwnemi musiały wydać się mu te słowa, gdy w lat kilka potem usiadł za biurkiem redakcyjnym *Gazety polskiej*, nawołującej wszelkiemi siłami do pracy organicznej, do podniesienia przemysłu i handlu mającej wreszcie krzewić myśl t. zw. uobywatelenia żydów.

Jeżeli zaś rzucimy, choć pobieżnie, okiem na polityczną działalność Kraszewskiego, to i tam spotykamy się z mnóstwem dowodów, które świadczą o nadzwyczajnej wrażliwości umysłowej i o zmienności poglądów. I tak np. w *Rachunkach* z 1868 r. popierał

---

cisnęli między nas wasi wrogowie? Wydrek nie był nasz i on innych zaraził. Pani dobra, pani nieszczęśliwa, pani od nas biedniejsza, niech twoja boleść nie pada klątwą na tych, którzy nie są jej winni. Zwołam ich, wszyscy uklękniemy przed tobą, a zobaczysz, że wielu nas będzie.

Regina (*ściskając mu rękę*).

Przebacz mi przyjacielu tę niesprawiedliwość... Nie wiedziałam... lepiej, że tak jest, jak mówicie... lepiej. Z serca mojego wyjąłeś cierń okropnego wyrzutu, że nakłoniłam Aurelego do poświęceń dla ludzi, którzy nie byli godni... Ale nikt z was nie był godzien jego śmierci... Czy ona usunęła jaką krzywdę, czy przywróciła naruszoną prawidłowość społeczeństwa? Nie. Czy ją sprowadził przypadek? Nie. Ciemną masę złych popędów zwaliła na mojego męża świadoma wola nikczemnego samolubstwa. Czy ono potrzebowało koniecznie takiej krwawej ofiary? Nie. Czy on mu wydarł łupy? Nie. Pragnął jedynie uszczęśliwić gromadkę ludzi biednych. Za to powinien był umrzeć? Nie. Wszechświecie, usłysz to moje: *nie* i odpowiedz gromem, któryby zdruzgotał złoczyńców! Krzyk mojej boleści, mojej skargi i rozpaczy nie może przebrzmieć bez odgłosu! Czy on tylko zmiesza się z echami trzasku tych płonących belek i wiatr go uniesie i rozproszy po naturze jak twój dźwięków bezmyślnych? Czemu tak cicho po tej zbrodni, że uderzenia wąszych serc są jedynym wyrazem zgrozy? Mściciel żaden nie przyjdzie... Kogo ja nieprzytomnym językiem wzywam! Na co mi zemsta? Dla kogo i czego żyć będę? Dla karmienia swą piersią boleści? (*wydziera się*). Puśćcie mnie! Co ja wam zrobiłam złego, że mi żyć każecie?

Morski (*zatrzymując ją z Rybałtem*).

Pani, stłum swoją rozpacz.

Regina.

Uciekajmy, ręce wasze zamieniają mi się w kręgi gadów duszących. Uciekajmy... gdzie? Do ojca Makarego... Co ja mu powiem? Że stracił córkę i syna, którego prochów nawet zmieszanych z popiołem nie będę mu mogła zanieść w urnie? Może w zgliszczach znajdę przynajmniej jakąś ich szczyptę.

Morski.

Później, gdy pożar zgaśnie. Chodźmy stąd.

Regina.

Aureli, ty z tych płomieni nigdy nie wyjdziesz i za mną nigdy nie pospieszysz — nigdy? Litościwa siło, jeżeli w przestrzeni jesteś, zmiłuj się nade mną i spraw, żebym oszalała! Błagam cię... (*słabnie — Morski z Rybałtem unoszą ją — ona szepcze omdlona*). Kochanku mój... wziąłeś mnie na ręce jak dziecko... uśmiechnę się... ale pocałuj (*wychodzą — za sceną słychać turkot*).

SCENA XIII.

Kreisler i Ksawery.

Ksawery (*do Sylwii za sceną*).

Zostań w powozie (*do Kreislera, patrząc na fabrykę*). Szkielet — niema co ratować.

Kreisler.

Ratować jednak trzeba dla przyzwoitości. Przyślę sikawki.

Ksawery.

Chyba dla przyzwoitości (*odchodzą*).

KONIEC.

gorąco myśl, żeby Galicya powołując się na tak zwane akty rewindykacyjne, żądała przyłączenia do Węgier; później w 1872 r. o węgrach odzywał się jak najgorzej i radził jej iść razem z czechami i innymi słowianami pod panowaniem austryackiem.

Powyższe przytoczenia dostatecznie potwierdzają zdanie Chmielowskiego, że „rozum jego (Kraszewskiego), to gąbka wchłaniająca chciwie wszystko, co ją wypełnić może.“ Na ironię więc zakrawa owo pogardliwe zdanie Kraszewskiego o Wiktorze Hugo, że nie może go uwielbiać, ponieważ ten ostatni ma 20,000 franków dochodu i co kilka lat zmienia swe teorye literackie i polityczne. Po pierwsze zapomniał, że obaj należą do wielkiej rodziny artystów, obaj rządzili się sercem, a nie rachubą, uczuciem, a nie głową. Obaj tedy podobni byli nieco do chorągiewek, obracających się stosownie do powiewu wiatru. W zmienności owej atoli zachodzi ta różnica, że Hugo stacza się lub wchodzi w górę — zależy to od poglądu osobistego każdego widza — w jednym i tym samym kierunku, podobnym do linii prostej, z burbonisty, czczącego białe lilie, zwolna staje się prorokiem i bożyszczem radykalizmu. Kraszewski przeciwnie robi wrażenie wędrowca, krążącego ciągle po linii krzywej, zamkniętej w sobie, a mającej tę właściwość, że każdy jej punkt leży w równej odległości od środka. Linię taką, mającą tym razem *złoty środek*, geometrya zowie kołem.

(D. n.)

A. N.

Z NIEMIEC.

20 kwietnia.

List otwarty Maurycego Carriera do Ernesta Renana. — Wykład astronoma Foerstera o granicach ludzkości. — Z literatury pięknej: nowe dramaty Seidla, Leebera, Hermanna — „Die Lazinski's, powieść Maurycego Reichenbacha. — Niemcy zajęci żoną Tomasza Carlyle'a.

Wśród złowieszczej ciszy „zbrojnego pokoju“ europejskiego, ponad głowami Deroulédów, marzących o krwawym na Niemcach odwecie, filozofowie podają sobie rękę, zachęcając „naród myślicieli“ i „la grande nation,“ ażeby łącznemi siłami spełniały wielkie zadanie cywilizacyjne naszego stulecia, a raz na zawsze porzuciły myśl o walce. M. Carriere, autor pomnikowej historyi sztuki, zakreślonej na tle rozwoju kulturalnego, ogłosił w najnowszym zeszycie miesięcznika *Deutsche Revue* list otwarty do Renana, zatytułowany „Zadanie kulturalne Francyi i Niemiec.“ Zniemczony francuz odzywa się do uczonego francuskiego, który głęboko przejął się filozofią niemiecką. Carriere przytacza chwile historyczne, łączące Francyę z Niemcami. Odebrały one od niej potężne pobudki umysłowe u schyłku XVIII stulecia. Lessing, Herder, Goethe, Schiller, Kant, pogłębiają tylko to, co głosili: Voltaire, Rousseau, Diderot. Francuzom zawdzięczają Niemcy zapał, z jakim przystąpili do liberalnego ukształtowania swych stosunków państwowych: Sedan zaś był dla francuzów raczej tryumfem, aniżeli klęską, gdyż wrócił im Rzeczpospolitą. Powtórne podjęcie walki zachwiałoby polityczną potęgę i rozwój kulturalny obu państw. Wojna wyczerpałaby środki ich materyalne, dziesiątkując zarazem młode pokolenie; nadto zaś wznowienie walki grozi i konstytucyi obu państw: zjednoczone Niemcy mogłyby się rozbić napowrót; we Francyi zaś wódz popularny podczas potrzeby wojennej niezawodnie obaliłby Rzeczpospolitą i jako nowy Napoleon odszkodowałby lud sławą za utraconą wolność.

Wobec groźnych tych skutków wrogiego zwarcia się Francyi z Niemcami, światlejsi członkowie obu narodów powinni rozbrajać wzburzone namiętności i unicestwiać zamiary odwetowe demagogów, wskazując na więzy historyczne, łączące oba narody i na współczesne zadania kulturalne. Carriere przypomina, że frankowie przybyli ze Wschodu, że burgundczycy byli germanami, niemniej Karol Młot i Karol Wielki; że dzisiejszy naród francuski rozwinął się z żywiołów celtyckich, rzymskich i germańskich. Miasto dziś rozszarpywać się wzajemnie, francuzi i niemcy powinnyby łącznie stanąć na czele społeczeństw europejskich, dążących do rozwiązania wielkich kwestyj społecznych i kulturalnych.

Po tym wstępie, napisanym z prawdziwą niemiecką szerokością i z kilkakrotnem powtórzeniem tych samych myśli, cechującem pióro sędziwego dziś filozofa, Carriere przystępuje do nakreślenia programu kulturalnego.

Sprawę społeczną rozwiąże, według niego, jedynie socyalizm chrześciański, pojmujący wszystkich ludzi jako dzieci Stwórcy; wspólna działalność pracodawców i robotników, ubezpieczenia na wypadek choroby lub bezrobocia, słowem, socyalizm protegowany przez „wielkiego kanclerza.“ Zadaniem zaś światłych francuzów i niemców jest pouczenie ludu o szkodliwości socyalizmu „ateistycznego, naturalistycznego, materyalistycznego.“ Zupełny samorząd ludu pracującego, to w oczach Carriera niewola i ruina jego materyalna.

Niemniej groźnym wydaje się Carrierowi prąd antireligijny, ogarniający coraz szersze koła. Pomiędzy nauką a wiarą nie istnieje, według niego, sprzeczność, niedająca się usunąć: mechanizm przyrody jest niezbędną podstawą dla wielkich idei dobra, piękna i prawdy; filozofowie po jednej i po drugiej stronie Wogezów winni pracować nad połączeniem nauki Chrystusa z nowożytną filozofią przyrody, podobnie jak ojcowie kościoła godzili kosmologię grecką z przewodniemi myślami chrześciaństwa. Nowa wiara, przygotowywana w ten sposób, powinna uszczęśliwić narody, budząc w nich zapał do pracy pokojowej, kulturalnej, a odrazę do przelewu krwi. Carriere kończy, przypominając słowa hr. Mirabeau: „Historya opowiada nam częstokroć jeno czyny zwierząt dzikich, pomiędzy któremi od czasu do czasu pojawia się bohater: wolno nam żywić nadzieję, że z nami rozpoczynają się dzieje ludu, dzieje braci, myślących o wzajemnem uszczęśliwieniu się, zgodnych nawet śród sprzeczności, gdyż cel ich wspólny, a tylko środki inne.“

Wywód filozofa niemieckiego, płynący bezsprzecznie z założenia uczonego, zwłaszcza w drugiej swej połowie, niesmaczne czyni wrażenie. Łagodny umysł starca, żyjącego w sferze sztuk pięknych i pozostającego pod wpływem filozofii heglowskiej, rozwiązuje głębokie sprzeczności naszego stulecia, świadczącą o tem, jak dalekim jest Carriere od rzeczywistego pojmowania sytuacyi współczesnej. Filozof starej szkoły, piszący o „kwestyi socyalnej,“ czyni nieznaczniejsze jeszcze wrażenie, aniżeli taki Hartmann, który rozprawiając o wszystkiem — gdyż pisze dla chleba — stara się przynajmniej o pozory nowożytnej, ściślejszej podstawy dla swych wywodów.

Dziwna, jak często jeszcze w Niemczech przekraczają normy podziału pracy umysłowej. Niedawno temu znany astronom Wilhelm Foerster, wygłosił w Berlinie odczyt o — „granicach ludzkości.“ I czy sądzicie, że wysnuwał przynajmniej wnioski swe z materyału kosmologicznego? Bynajmniej. Poprzestał na kilkunastu cytatach z sakramentalnego Goethego, poczem oświadczył, że pomiędzy ludami nie istnieje właściwie inna sprzeczność prócz indywidualnej walki o byt, odbywającej się na gruncie pracy i że język powszechny znacznie przyczyni się do zbliżenia wrogich sobie grup ludzkości.

Zrażeni temi oświadczeniami filozofów i uczonych niemieckich, rozglądamy się po niebie twórczości poetyckiej, przypuszczając, że tu znajdziemy światło jakieś ożywcze. Atoli skoro z pominięciem drobnej grupy Bleibtreu'owskiej, przemilczanej przez wszystkie prawie pisma literackie w Niemczech, zechcemy zaczerpnąć z uznanej, „oficyalnej“ literatury niemieckiej, ogarnia nas niesmak i znudzenie. Nowe dramaty niemieckie: „Tarkwińczycy“ Seidla, „Judasz“ Leebera, „Sokrates“ Hermanna — to długie, ociężałe, pięcioaktowe ćwiczenia, to udramatyzowany, a raczej jeno udyalogizowany Schlosser. Krytycy niemieccy unoszą się nad pięknością tematów, jasnością budowy, wytwornością języka tych utworów; czytelnik obcy zaś doświadcza słuszności zdania owego, że prawdziwy zmysł dramatyczny jest rzadkością u autorów niemieckich.

Bardziej zajmującą, aniżeli te dramaty koturnowe, będzie dla nas najnowsza powieść hrabiny Waleski Bethusy-Huc, piszącej pod pseudonymem Reichenbacha, „Die Laziński's.“ Akcya odbywa się na Szląsku, obok granicy polskiej. „Łazińscy“ to dzieje szlacheckiej rodziny polskiej, zrujnowanej wskutek magnackich swych zachcianek i nieoględności. Dobra ich rodzinne przechodzą w ręce żyda Frankfurta. Córki starego Łazińskiego, Anna i Zofia, zaręczone są z junkrami, Blessenem i Rallbornem. Kiedy następuje katastrofa, stary Łaziński zmuszony jest przyjąć posadę urzędnika, przyszli zięciowie opuszczają jego córki. Wtem zjawia się Bogusław, syn Łazińskiego, żyjący w Rosyi jako członek stronnictwa nihilistów. Nie umie on jednak polepszyć smutnego położenia rodziny swej i wraca do Rosyi, podczas gdy Zofia poświęca się scenie.

Założenie, jak widzimy, zajmujące; autorka porusza stosunki obecne, sprawy piekące, kroi na powieść społeczną, realistyczną. Zna widocznie okolice, któremi się zajmuje. Jednak nie spełnia ona oczekiwań naszych. Powieść społeczna staje się zwykłą powieścią szlachecką. Blessen, były narzeczony Anny, wychodzi na tęgiego gospodarza; Annę poślubia bogaty fabrykant Ramberg. Zofia opuściwszy pensyę, udaje się do Rosyi za Bogusławem; ten zaś, wygłosiwszy parę frazesów o zbawieniu ludu, kończy bezowocnem zburzeniem wielkiej fabryki maszyn. „Łazińscy“ należą zatem do modnych powieści o zabarwieniu społecznem, niemających jednak nic wspólnego z poważnym kierunkiem Zoli lub Bleibtreua; publiczność polską zajmą mimo to postacie i stosunki swojskie, opisane przez autorkę niemiecką.

Uznania godnem pozostanie u niemców zawsze żywe zajmowanie się literaturą i stosunkami obcych narodów. Najświeższym objawem udziału tego jest uwaga, jaką obudziła w Niemczech książka Frouda o żonie Tomasza Carlyle'a. Zbiór listów Joanny Welsh Carlyle, przetłomaczony na język niemiecki przez T. A. Fischera, przedstawia żonę Carlyle'a i stosunek jej do sławnego małżonka w innem świetle, aniżeli opinia publiczna pojmowała je przywykła. Jane Welsh była nietylko piękną, ale też sprytną i chciwą wiedzy. „Miała czarne włosy — pisze Froude — ciemne, wielkie oczy, połyskujące cichą jakąś ironią, bladą cerę. Postać — smukłą, lekką, wdzięczną. Uchodziła za piękną. Piękność była jednak drugiem wrażeniem, jakie wywierała: pierwszem była żywość umysłowa.“ Ambitna — pragnęła posiąść Carlyle'a całego, wszystkie myśli jego i uczucia. Stąd pomiędzy nimi wytwarzały się starcia, sceny zazdrości, na krótki czas nastąpił nawet rozdział zupełny. Atoli Carlyle kochał i cenił żonę; nie była ona dlań jeno gospodynią, ale w całem tego słowa znaczeniu to-

warzyszką życia. Po śmierci jej czuł rozpacz i próżnię niesłychaną; poznał, że była właściwie słońcem jego życia. Historycy literatury, którzy pracując rzekomo dla sławy wielkich pisarzy minionych pokoleń, z mrówczą pilnością wyszukują wszystko, co rzucić może cień na charakter pisarza, którego znaczenia umysłowego umniejszyć nie mogą, przedstawili Carlyle'a jako tyrana domowego, Janę jako ofiarę. Carlyle zawdzięczał jej wiele szczęścia; ale i ona miała w życiu swem wiele chwil jasnych i szczęśliwych, które zawdzięczała uwielbianemu swemu mężowi.

Ladawa.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Nowe zaofiarowanie majątków polskich w Poznańskiem. — Uspokojone obawy. — Komisya kolonizacyjna jako mamka szlachecka. — Przepowiednie ks. Bismarka i projekt rozbicia banku w Monaco.— Nasz Boulanger. — Tryumfy p. Ochorowicza. — Doświadczenia w szpitalu św. Ducha. — Kto winien?— Trzystu lekarzy i trzy ich pisma na straży zdrowia ogółu. — „Demon" p. Żmurki. — Pytania literackie.

Pod osłoną wrażeń mocniejszych, jakich zwłaszcza dostarczają konający Fryderyk III i tryumfujący Boulanger, patryoci poznańscy, *von'y* i *Ritter'y* przemykają się chyłkiem ze swemi „ofertami" do komisyi kolonizacyjnej, w nadziei, że ich uwaga publiczna, gdzieindziej zwrócona, nie dostrzeże. Naiwność jest prawowitą córką Lecha, przywiślaninem zwanego; więc też jej dzieci głośno i cicho zapewniały, że nowy monarcha usunie ten lep na cnoty obywatelskie szlachty poznańskiej, która „lżej odetchnie." Pomijając to, że monarcha konstytucyjny nie może nawet najlepszą swą wolą znosić uchwał parlamentarnych i uprawnionych, naiwni mylili się głównie co do „oddechu." Bo właśnie — jak widzimy i jak nam publicznie dowiedziono — owa szlachta dopiero wtedy odetchnęłaby ciężko, gdyby usunięto komisyę kolonizacyjną, która jest jej jedynem zbawieniem. Pojmując nieocenioną wartość tej instytucyi dla patryotów z nad Warty, dobry Fryderyk III nietylko nie próbował zahamować jej działania, ale owszem oświadczył im przez swą żonę, która odwiedzała powodzian, że to dobrodziejstwo im zachowa. Rzeczywiście, nie mogę wyobrazić sobie, co by się stało z Poznańskiem, a przynajmniej z jego „czołem," gdyby nagle zniknęła komisya kolonizacyjna, mamka, karmiąca patryotyzm większej własności ziemskiej. Sama myśl o takiej klęsce zdolna była wywołać ten pośpiech w „zaofiarowaniu," o jakim mówią ostatnie telegramy. 20 majątków polskich przystawiono znowu do piersi tej mamki. Czy ona wszystkie przyjmie — ileż westchnień tęsknoty, nadziei i obaw biegnie w kierunku tego pytania!

Czytelnicy pamiętają, że ks. Bismark szlachcie poznańskiej, która sprzeda swe dobra komisyi, radził jechać do Monaco. Czyżby stamtąd wyszła śmiała i genialna myśl wielkiego zamiaru, o którym donosi *Kuryer warszawski*? Mianowicie ogłasza on wiadomość „wiarogodną," że jakiś S., straciwszy znaczną fortunę, zawiązuje spółkę, mającą „rozbić bank w Monaco." Obmyślił on niezawodny ku temu środek, który wymaga 60,000 franków. Ponieważ sam twórca wynalazku jest goły, więc zaczął szukać spólników — i znalazł. Niebawem pomysłowe towarzystwo wyjeżdża na pole zwycięztw niezawodnych. Warto byłoby wiedzieć, ilu w tej „spółce" jest „przewodników narodu" poznańskich, a ilu naszych. W każdym razie przyznajmy, że Bismark zna ludzi, a przynajmniej zna nas. Rzadko komu udało się być tak trafnym wróżbitą. Gdy rzucił swoje urągliwe słówko w sejmie i gdy posłowie poznańscy całą ławą podnieśli protest, byłbym dał głowę, że to szydercze proroctwo nigdy się nie spełni. Tymczasem spełniło się w nadzwyczajnej mierze. Monaco pociągnęło nas tak mocno, że nawet literaci warszawscy z obozu konserwatywnego zaczęli je odwiedzać i przyglądać się Mekce szlacheckiej. I oto teraz widzimy rodzaj wyprawy krzyżowej, przedsięwziętej dla odebrania jej z rąk niewiernych. Czy ten zamysł przyjdzie do skutku, czy nie, ślicznie odbija się na tle obecnego naszego położenia. W. Hugo nie umiałby dobrać wspanialszych kontrastów. Bo czemże jest Quasimodo lub Człowiek śmiechu, zakochany w pięknej kobiecie, wobec spółki, mającej rozbić bank Monaco, a zestawionej z potrzebami i zadaniami naszego życia społecznego! „Kogo Jowisz chce ukarać, temu naprzód rozum odbierze" — mawiali starożytni. Czyżby na nas spaść miały jeszcze większe kary, gdyż jak tylko nam rozum nieco odrośnie, zaraz znika.

Inaczej p. Ochorowicz nie miałby największej praktyki lekarskiej w Warszawie. Ponieważ współcześnie miasto od Warszawy rozumniejsze, Paryż, ma Boulangera, którego obnosi w tryumfie śród śmiechu całej Europy, jest to okolicznością łagodzącą nasz wstyd, że krzyczymy: vive Ochorowicz! Jako „francuzi północy" i mieszkańcy „małego Paryża" musimy naśladować wzory nadsekwańskie, a nie mogąc tego czynić w polityce, czynimy przynajmniej w medycynie. Przyznać zaś trzeba, że między Boulangerem a Ochorowiczem istnieje wiele cech wspólnych: obaj nic nie zrobili dla usprawiedliwienia swej sławy, obaj podejmują się leczenia wszelkich chorób, obaj przyjęli za godło zasadę, że śmiałym los sprzyja, obaj dobywają swój rozgłos z łatwowierności mas, obaj wznoszą się na skrzydłach blagi i zuchwalstwa, obaj odważnie „szklą." P. Ochorowicz, nie poprzestając na wynikach swej „metody," stosowanej bez kontroli po domach prywatnych, postanowił złożyć egzamin czarodzieja wobec znawców. W szpitalu św. Ducha pozwolono mu robić doświadczenia na chorych kliniki. Rezultaty okazały się zdumiewające. Przekonały bowiem naprzód, że szanowny hypnotyzer nie ma pojęcia ani o anatomii, ani o fizyologii, ani o patologii, chociaż usiłuje stawiać dyagnozy. Dzięki temu zdarzało się np., że wynajdywał cierpienia mlecza pacierzowego w tej okolicy ciała, gdzie mlecza niema, a omyłka wynosiła około — pół łokcia. Innym razem oświadczył, że widzi zaburzenie obiegu krwi w nogach, a gdy mu wytłomaczono, że to jest niemożliwem, poprawił się na — apopleksyę rdzenia — itp. Tym rozpoznaniom odpowiadają godnie skutki leczenia. Tak np. jedna z chorych w uśpieniu hypnotycznem dostała drgawek oddechowych, co p. O. uznał za „objaw pożądany." Zdarzało się również, że nie umiał obudzić zahypnotyzowanej i dopiero z kłopotu wyratował go obecny lekarz. Słowem, wyjąwszy pewną pacyentkę, która uczuła „subjektywną poprawę," wszystkie wyniki „metody" p. O. były tego rodzaju, że prof. Lambl zakazał dalszych doświadczeń i dopiero na usilne prośby pogromcy medycyny pozwolił mu jeszcze dwa tygodnie się bawić. Czy to ustępstwo było właściwem? Zarówno próby wykonane w klinice, jak wypadki, opowiadane z prywatnej praktyki czarodzieja, świadczą, że jego przechwałka w leczeniu najrozmaitszych chorób jest co najmniej blagą, że zamiast poprawy, sprowadza często pogorszenie zdrowia.

Sprawa ta ma jeszcze inną stronę. P. Ochorowicz za swoje leczenie każe sobie płacić i płacić drogo, jego praktyka nie jest bezinteresownem maniactwem naukowem, ale przedsiębiorstwem ekonomicznem. Ponieważ zaś dopisuje mu wielkie powodzenie, ponieważ obok Warszawy dostarczają mu chorych nawet odległe okolice, więc nasz bulanżeryzm jest tryumfalnym pochodem znachora, który w najlepszym wypadku osłabia wiarę do medycyny i szerzy ciemnotę, a za tę usługę każe się hojnie wynagradzać.

Kto temu winien? Niewątpliwie naprzód łatwowierność ukształconego i nieukształconego tłumu, który pozwala się durzyć i wyzyskiwać — ale tłum jest niepoczytalnym i usprawiedliwionym, gdy czepia się wszelkich desek ratunku. Winien p. Ochorowicz, który świadomie idzie daleko po za granice naukowej podstawy swych sposobów leczniczych, kierując się śladem złotej żyły, a nie ścisłych dowodów. Ale najbardziej winni lekarze, którzy widząc i znając najlepiej wartość jego roboty, poprzestają na potępieniach i drwinach prywatnych i nie ostrzegają ogółu publicznie. Prócz ostrej krytyki *wykładów* p. Ochorowicza, napisanej przez dr. Nusbauma we *Wszechświecie*, nie spotkaliśmy nawet drobnego artykułu medycznego w tym przedmiocie, pomimo że p. Ochorowicz kuruje tysiące ludzi, a Warszawa posiada 300 kilkudziesięciu lekarzów i trzy pisma lekarskie. Co to jest? Nie lekceważenie faktu, bo on ani ze strony naukowej, ani ze strony społecznej i moralnej na to nie zasługuje, ani duma eskulapowego kapłaństwa, bo ci, co nie uważają sobie za ujmę otwierać hypnotyzerowi swoje kliniki, powierzać mu swoich chorych i tworzyć galeryę podczas jego doświadczeń, mogą również wystąpić z publiczną o jego robotach krytyką. Doprawdy p. Ochorowicz ma prawo mniemać, że spadł na nich jak jastrząb na stado kuropatw i rozproszył je. Trudno zaś wymagać od ogółu, od ludzi często nieukształconych, ratujących swoje lub cudze zdrowie, pozbawionych naukowego probierza, ażeby oni nie dali się uwieść pokusie i sami kontrolowali jego „metodę." Skoro dla wypróbowania tej „metody" otworzono klinikę, należało objaśnić publiczność o wynikach doświadczeń. Milczenie, przerywane zaledwie reporteryą *Kuryerów*, może tylko utrwalić wiarę w cudotwórczość p. Ochorowicza, do którego zaczynają już ściągać ludzie z daleka, nieraz narażając w podróży swoje zdrowie i życie. Nie zginąłby świat, gdyby pisma lekarskie opóźniły druk opisu zboczeń płciowych, badanych przez Kraft-Ebinga, lub gruźlicy nosa, a natomiast zajęły się „metodą" p. Ochorowicza, która rozpostarła się na tłumy chorych i wessała się w ich kieszenie. Pisma te spełnią może swój obowiązek, ale za... rok (wszystkie należą do ciężkomyślnych i flegmatycznych), to jest wtedy, kiedy ich pogromca pokaże im figę— z Paryża. Biedny ten nasz ogół, jak on często w najważniejszych sprawach pozostaje bez opieki.

Gdyby p. Żmurko odmalował p. Ochorowicza jako „demona" — miałoby to więcej sensu, niż jego szpetna kobieta, wystawiona w galeryi Krywulta. Pomijam brzydotę, bo skoro między żabami, małpami, sowami istnieją zachwyty i miłość, do uczuć tych nie ma prawa jedynie piękność. Zresztą co krok spotykamy kochanków i mężów zwulkanizowanych względem kobiet, które wszystkich innych mężczyzn przejmują tylko wdzięcznością dla przestrzeni, pozwalającej uciekać od przedmiotów wstrętu. Piękno, jak prawda, wymaga wyższych uzdolnień, ażeby mogło być pojętem i ocenionem — więc rzeczywiście bywają „demony" brzydkie. Ale chociażbyśmy rozgrzeszyli malarza z tej winy jego utworu i chociażbyśmy za radą p. Witkiewicza zrzekli się pierwiastku „literackiego" w obrazie, nie uratujemy sensu w odpowiedzi na pytanie: co znaczy kobieta naga, po biodrach obrzucona futrem, stojąca w jakimś przedsionku, śród rozproszonych pieniędzy i klejnotów? Czy to prawda, że ona ma wejść do czyjegoś mieszkania i zburzyć czyjś spokój? Gdzież na świecie kobiety, nawet w ro-

li „demonów,“ tak się ubierają? Występują obnażone, całkowicie lub częściowo, ale w strefie gorącej, tam, gdzie nie ma futer. Futro stanowi dla malarzów dekoracyę wdzięczną, więc je zarzucają bez względu na sens, na to, co się ironicznie nazywa „motywem literackim.“ Ponieważ nie jestem malarzem, więc nie badam: gdzie „demon“ p. Żmurki zdołał umieścić na gołem ciele tyle złota i klejnotów, które wymagałyby dużej szkatuły; skąd tej postaci wyrasta prawa ręka; czemu, przyzwyczajona do nagości, tak odcisnęła sobie gorsetem biust itd? Są to bowiem kwestye nieliterackie i nie dotyczą myśli obrazu. Z tego jedynie stanowiska upewniam artystę, że gdyby do mnie wszedł jego „demon,“ rzekłbym:

— Pani się pomyliła, tu nie łazienka.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Statystyka śmiertelności pośród moich znajomych.— Bronisław Białobłocki. — Feliks Stawiski. — Majątki „wystawione“ i sprzedane w Radomskiem. — Zdumienie szlachty i uczciwość chłopska.— Okrutny dziedzic. — Występki powszednie i „sensacyjne.“ — Lekarze i publiczność. — Dlaczego doktorzy muszą grać w karty?

Niedawno układałem w myśli statystykę śmiertelności pośród znajomych. Szesnastu w ciągu lat ośmiu zmarło na choroby piersiowe. Najstarszy z nich liczył lat czterdzieści, reszta — młodzież w kwiecie wieku, mordująca się z nauką o głodzie. Ciężko pomyśleć, jak jest słaba medycyna wobec potęgi laseczników Kocha i... dzisiejszych stosunków społecznych... W tych dniach szesnastkę zamknął Bronisław Białobłocki w 28 roku życia. Urodził się w gub. mińskiej, w powiecie nowogrodzkim, kształcił się w Słucku, a następnie w uniwersytecie petersburskim, skąd wyszedł ze stopniem kandydata nauk prawnych. Jednocześnie skończył akademię sztuk pięknych. Sierota od dzieciństwa, sam szedł przebojem w świat. Podczas studyów akademickich często krzepił go chleb z wodą. Nikomu się nie skarżył, o łaskę nie żebrał. Rzucony na bruk warszawski oddał się pedagogice i literaturze. Drukował poważne artykuły w *Przeglądzie tygodniowym* (jeden zamieścila również *Prawda*). W *Atencum* umieścił godną uwagi krytyczną ocenę Turgeniewa. Zgoryczony ciężkimi zawodami, zniechęcony do świata i ludzi, stał się młodym starcem, aż gruźlica oszczędziła mu cierpień moralnych i kołatania się nadal na pustkowiu... śród ludzi.

Innego rodzaju człowieka śmierć zabrała w Piotrkowskim. Był to Feliks Stawiski, wykształcony obywatel ziemski, synowiec ekonomisty Edwarda. Nie poprzestawał na wzorowem prowadzeniu gospodarstwa, pisywaniu artykułów do *Gazety rolniczej* i *Tygodnika*, krzątaniu się na polu przemysłowem itd. Najważniejsze jego zasługi—troskliwość o swych pracowników i wnikanie w potrzeby ludu. Często należał do składu rad familijnych włościańskich, jako opiekun, podopiekun lub cz łonek. Abonował dla swej wsi *Zorzę*, *Gazetę świąteczną* i wszelkie inne wydawnictwa ludowe. Dzieci chętnych do nauki kazał swoim kosztem nauczać czytania i pisania. Przyjął obowiązek ławnika w dość ciężkich jeszcze czasach sądów wójtowskich, następnie został wybrany na sędziego gminnego. Własnym przykładem zachęcił włościan okolicznych do staranniejszej pracy na roli. Dzięki temu nieużytki uważane niegdyś za błoto, są obecnie dla niejednego chłopa źródłem znacznego dochodu. W posiadłości swej Rembiszowie założył sklep ku wygodzie mieszkańców wsi okolicznych. W Zduńskiej Woli otworzył skład żelaza i innych artykułów gospodarczych, który po uciążliwej walce szczęśliwie przełamał współzawodnictwo żydowskie. Oto są zasługi rolnika, *wielkie* nawet w obecnem położeniu naszem. Kiedyż się one staną zwyczajnym obowiązkiem obywatelskim!?.. Chyba nie dziś, gdy się tylko myśli o wiecznie dręczących i nigdy niewypłacalnych ratach, kiedy np. w jednej tylko gubernii radomskiej wystawiono *piętnaście* dóbr na sprzedaż drugą, ostatnią od zniżonego szacunku, czyli za samą tylko pożyczkę Towarzystwa kredytowego, pozostałą do umorzenia w chwili sprzedaży. Oprócz „wystawionych“ sprzedano już *pięć* posiadłości, czyli na indeksie było *dwadzieścia*. Smutne to i niebywałe dotąd! *Gazeta radomska* utrzymuje, iż nawet w latach nieurodzajnych sprzedawano najwyżej majątków 2 — 7, na drugą wystawiono 2 — 8, czyli największą cyfrę ogółem 15. Przeszły rok nalażał do bardzo pomyślnych w rolnictwie. Co będzie po tegorocznych klęskach, jeśli na nieszczęście urodzaj jeszcze się nie uda?..

Wobec takiego pognębienia ekonomicznego o wszelkich obowiązkach moralnych mowy być nie może. Są wszakże miejscowości w tej samej gubernii, gdzie idealne panują stosunki „dworu“ z „chatą.“ Korespondent z Sandomierza utrzymuje, iż „włościanie zazwyczaj przekonywają się, że szlachcic bynajmniej nie pragnie ich straty, panowie zaś obywatele zdumienia doznają na widok akuratności i sumienności tych w pocie czoła pracujących.“ W okolicach Staszowa nowonabywcy cząstkowi jednego z majątków, którego właściciel zmarł przed sporządzeniem aktu urzędowego, dobrowolnie przyznali nieletnim dzieciom należność *kilkadziesiąt tysięcy* rubli, pomimo że posiadali już faktycznie odstąpienie dobra ówczas, gdy spadkobiercy nie mogli okazać żadnego dowodu. W skutek braku gotówki i uciążliwości opłaty *alienacyjnej*, dawną formę dzierżawy zamieniono tam na cząstkowe oddawanie w dzierżawę. Otóż — jak twierdzi korespondent *Gazety radomskiej*— w większej liczbie wypadków strony nie zawierają pomiędzy sobą kontraktów urzędowych, pomimo że włościanie są niepiśmienni i że usunięcie nieakuratnych pociąga za sobą wielkie niedogodności i koszty. A jednak „przykłady nieuiszczania się z czynszu dzierżawnego przez włościan prawie się nie zdarzają.“ Wszystkie te piękne objawy rozstrzyga korespondent uwagami: „jeżeli daje się spostrzegać u kmiotków naszych pewna pożądliwość na grunty dworskie, to raczej na tle zazdrości psychologicznej, tak właściwej wogóle biedniejszym, aniżeli pod wpływem podmuchów socyalnych, które są wprost sprzeczne z przywiązaniem włościanina do swojego kawałka ziemi.“ Czy przywiązanie do ziemi jest *podmuchem socyalnym* albo czem innem, czy pożądliwość *zazdrością psychologiczną* lub nie, trudno w tem miejscu z korespondentem się wdawać w spory. Niech on pozostaje przy swojem, a wyszukuje dla czytelników więcej takich faktów. Zwiastun przyjemnych wieści zawsze jest— miłym.

Smutno od powyższych przystępować do faktów wstrętnych. P. X. obarczony liczną rodziną, musiał wyprawić swą córkę w świat za chlebem. Uczenica konserwatoryum muzycznego, posiadająca kilka języków, przyjęła miejsce nauczycielki w domu państwa K., obywateli ziemskich z Płońskiego. Już w Iwangrodzie doznała zawodu. Koni przyrzeczonych na stacyi nie było. Podczas ulewy przez roztopy ojciec z córką podążył na miejsce wynajętą furmanką. Dziewczę wskutek zaziębienia się w drodze, ciężko zachorowało. P. K., nie chcąc mieć u siebie niedołężnej chwilowo, wysłał ją z powrotem do Płońska, zatrzymując wszystkie jej rzeczy na rachunek strat poniesionych w podróży. Dopiero w kilka tygodni, po wysłaniu sumy żądanej, zastaw zwrócono. Ów dziedzic nielitościwie wyzyskujący dotkniętych niedolą, jest bardzo zamożnym i cieszy się szacunkiem sąsiadów. W naszem społeczeństwie wcierają się pewne czyny, których w stanie przewlekłym żadne kary i środki pohamować nie mogą. Jak się przyzwaczajamy do garbów, wykrzywień nóg, rąk itd., tak patrzymy na zbrodnie codzienne. Nie robią one na nas wrażenia, bo są zanadto powszednie. Mieszkańcy np. Łodzi już się nawet nie budzą z przerażeniem na strzały nocne, jak na pianie koguta. Wiedzą oni, że to stróże odpierają atak złodziejski. W końcu każdy z nich ulegnie przeważającej sile rabusiów, szczęśliwy, jeśli życie uniesie. Rzecz dla mnie niepojęta, jakim sposobem dorożkarze mogą działać wspólnie z opryszkami, przyjeżdżać razem z nimi na rozboje i ładować towary zrabowane, nie mówię bezkarnie, ale nawet bez przeszkody? Kto wie, czy się kiedyś nie staną panami życia i śmierci mieszkańców tego miasta. Z tysiąca zwykłych przestępstw wysuwają się od czasu do czasu tak zwane przez reporterów „sensacyjne.“ Do tych należy czyn dziewczyny w Mani (pod Łodzią), która przez kilka tygodni trzymała w zamknięciu o głodzie matkę własną na posłaniu przegniłem. Niedawno dobrzy ludzie wydobyli z więzienia wynędzniałą, okrytą ranami starowinę, a jedynaczka, oczekująca na spadek, nieobecna w chwili oswobodzenia rodzicielki, doznała tylko „bardzo niemiłego przyjęcia“ ze strony mieszkańców wioski.

Oddawna jątrzy się niewygojona w prasie (przeważnie prowincyonalnej) sprawa lekarzy. Niezadowolenie obustronne: publiczności i służby zdrowia. Pierwsza wymaga pobierania jaknajskromniejszych honoraryów i wydawania najtańszych recept, druga dobrego uposażenia, wszelkich wygód materyalnych i moralnych. W Łodzi lekarze uważają się za bardzo wyzyskiwanych przez ogół, gdyż udzielają porady bezpłatnej w szpitalu starozakonnych zgłaszającym się chorym bez różnicy wyznania. Na sto kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców przynajmniej trzecią część liczyć trzeba nędzy, a więc wyobrażam sobie, jaki to w tem jedynem miejscu leczenia bezpłatnego ścisk być musi i... jaka tam dyagnoza! Podziwiam poświęcenie doktorów i ich pracowitość bezinteresowną (na jednego bowiem niewątpliwie stu chorych ubogich przypada w ciągu godziny), a z drugiej strony — ich niesolidarność w czynach i egoizm. Służąca (z pensyą 4 rubli na miesiąc), potrzebowała się poddać kuracyi. Była u dwóch lekarzy, obaj nie przyjęli zapłaty. Cierpienie nie ustępowało, chora zaś myśląc, że to jest przyczyna porady *bezpłatnej*, udała się do trzeciego. Ten orzekł, iż umarłaby niezawodnie, jeśliby się przez miesiąc leczyła u kogo innego. Pierwsza porada kosztowała rubla, lekarstwo 1 rs. 50 k. W ciągu tygodnia służąca zapłaciła 4 ruble doktorowi i 3 aptece. Przekonawszy się, iż leczenie takie jest za drogie, udała się do kumoszki, która uzdrawia ją odwarem z rozmaitych cudownych ziółek. Drugi znamienny wypadek. Na Bałuty (przedmieście Łodzi) do kobiety niebezpiecznie chorej szukano doktora. Mąż jej udał się do czterech. Jednego nie było w domu, *trzech odmówiło*. Rezultatem było porodzenie dziecka martwego. Fejletonista *Dziennika* miejscowego usprawiedliwia ten wypadek. Była to noc. Bałuty zaś są kolonią przestępców (jest ich kilka tysięcy), którzy już odbyli karę. Podobno jeden z lekarzy tej dzielnicy obowiązuje się odwiedzać chorych po zachodzie słońca nie inaczej jak w towarzystwie dwóch znanych mu obywateli. Łatwiej umrzeć niż się doczekać wizyty obywatelsko - lekarskiej. W *Gazecie radomskiej* jeden z interesowanych poświęca dwa obszerne artykuły („Kilka słów“) sprawie wyznawców Eskulapa na prowincyi. Dlaczego im pozostaje jedyna rozrywka — karty? Bo „na 2,000 mieszkańców jest 1 aptekarz, 1 ksiądz i 1

lekarz, czasami pocztmistrz.“ Towarzystwo takie „może w większości wypadków przyczynić się do powiększenia splenu, lub przyśpieszyć całkowitą niwelacyę umysłową.“ Przypuszczam, iż autor artykułu, usprawiedliwiający brzydkie nałogi, sam musi być chory na splen, a raczej krajową hipochondryę.

Drogomir.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Teatr. Sprawozdanie z *Galeotta* zamieścimy w numerze następnym.

Przedstawienia małoruskie. Trupa małoruska rozpoczęła w Teatrze Wielkim szereg przedstawień sztuką ludową ze śpiewami p. t. *Noc świętojańska* Staryckiego, malującą losy miłości na tle życia ludu ukraińskiego. Zarówno utwory tego autora, jak i tej literatury są czytelnikom naszym znane ze sprawozdań p. Franka.

Egzaminy na stopień technika komunikacyi muszą być składane przed oficyalnemi komisyami w Instytucyi inżenierów komunikacyi, tudzież w zarządach okręgowych inżenierskich za wskazówką ministra komunikacyi. Według programów ułożonych przez radę Instytutu do egzaminów wchodzą przedmioty: a) rysunek techniczny, inżenierski, architektoniczny i sytuacyjny; b) niższa geodezya i robienie studyów; c) mechanika elementarna; d) architektura i budownictwo; e) wiadomości elementarne z mechaniki praktycznej i budowniczej, sporządzanie kosztorysów itd. Do egzaminów dopuszczani są mężczyźni wszystkich wyznań chrześciańskich, poddani ruscy, mający lat nie mniej niż 21 i nie więcej niż 40, którzy skończyli kurs szkoły realnej. Nadto, ubiegający się o pozyskanie stopnia, winni przedstawić świadectwo inżeniera, iż przez rok przynajmniej zajmowali się robotami praktycznemi. Oznaczenie innych jeszcze zakładów naukowych, których ukończenie dawać ma prawo do składania egzaminu na stopień technika komunikacyi, zależeć będzie od porozumienia się ministrów komunikacyi i oświaty. Kandydaci przysyłają prośby do Instytutu na imię dyrektora lub do zarządu okręgowego komunikacyi, na imię jego naczelnika. Dołączyć należy zwykłe dokumenty, oraz 10 rs. na pokrycie kosztów egzaminacyjnych. Świadectwo na stopień technika daje prawo do wykonania robót budowniczych według projektów zatwierdzonych. Osoby posiadające powyższy tytuł, mogą zajmować posady rządowe w ministeryum komunikacyi. Rodzaj posad określa minister.

Testament Wittgensteina Izba sądowa wileńska zatwierdziła. Gazety ruskie przypuszczają, że nie jest to zatwierdzenie ostateczne. Ze strony ks. Hohenlohe stawał p. Spasowicz.

Zarząd kolei żelaznej galicyjskiej Karola Ludwika zawiadomił dyrekcye dróg Warszawsko-Wiedeńskiej i Bydgoskiej, iż zawiadowcy stacyj pogranicznych nie są obecnie upoważnieni do wydawania biletów wolnej jazdy urzędnikom kolei obcych na mocy przedstawionych certyfikatów. Należy odtąd udawać się do dyrekcyi głównej w Wiedniu.

Wino. *Now. Wremia* donosi: Wskutek otrzymanych przez ministeryum skarbu wiadomości, że w Królestwie Polskiem pod postacią wina rodzynkowego, uwolnionego od akcyzy, odbywa się na wielką skalę fabrykacya wina, uchodzącego następnie w handlu za węgierskie, zażądano szczegółów, w jakim stopniu rozwoju jest wytwarzanie i jakie środki, według organów miejscowych, konieczne są do zapobieżenia tym nadużyciom. Obecnie zamierzono albo ograniczyć fabrykacyę tego wina do potrzeb rzeczywistych, albo obłożyć je na równi z innymi gatunkami akcyzą.

Zjazd przedstawicieli wszystkich kolei państwa ruskiego na naradę w sprawie przewozu towarów przez komory celne odbędzie się niezadługo w Petersburgu.

Przy Towarzystwie wzajemnej pomocy subjektów handlowych i przemysłowych w Warszawie utworzono na nowo wydział rekomendacyi pracy, pośredniczący pomiędzy pracodawcami a poszukującymi zajęcia.

Warszawskie Towarzystwo dobroczynności uzyskało pozwolenie na otworzenie warsztatów: stolarskiego, ślusarskiego itd. dla 60 ubogich chłopców.

Nowe fabryki. W Warszawie powstała fabryka farbki do bielizny. Właścicielem jest krajowiec.

— Tutejszy przemysłowiec, p. Jakób Fajans, otwiera z d. 1 lipca wielką fabrykę wszelkiego rodzaju maszyn drukarskich, zwyczajnych, pospiesznych i litograficznych. Dotąd wyłącznie sprowadzano je z zagranicy.

Wystawę obrazów w Wilnie urządza p. Kazimierz Alchimowicz, w której ma wziąć udział grono naszych malarzy.

Szkoły. Minister wychowania publicznego postanowił: 1) aby w żeńskich szkołach sześcioklasowych pierwszej kategoryi w Rydze i Goldyndze, tudzież w prywatnej żeńskiej Mellina w Dorpacie, wreszcie we wszystkich szkołach żeńskich przez miasta utrzymywanych, wykład języka ruskiego zajmował sześć godzin tygodniowo w każdej klasie i każdym oddziale; 2) aby niezależnie od historyi i geografii powszechnej wykładano w rzeczonych szkołach w języku ruskim historyę i geografię Rosyi, pierwszą przez pięć, drugą przez trzy godziny tygodniowo. Rozporządzenie to ma wejść w czyn od nowego roku szkolnego.

Z Poznania donoszą, iż w Paradyżu kilku polskim wychowańcom seminaryum nauczycielskiego kazano zakład opuścić z powodu niedostatecznej znajomości języka niemieckiego.

Zjazd okulistów wojskowych obraduje obecnie nad środkami zmniejszenia chorób ocznych w armii.

Żydzi. *Woschod* donosi, iż z Odesy mają być niezwłocznie wydaleni wszyscy żydzi rzemieślnicy zagranicznego pochodzenia. — Niektórzy starozakonni pisarze od rejentów, usunięci ze swych posad w temże mieście, założyli sobie prywatne kancelarye do pisania podań i projektów do aktów notaryalnych. Z rozporządzenia władzy miejscowej biura te zamknięto.

Własność ziemska. Komitet zjazdu przedstawicieli Towarzystw kredytowych ziemskich wydał statystykę kredytu rolniczego w Cesarstwie. Najwięcej dóbr, zastawionych w bankach, znajduje się w guberniach najurodzajniejszych (czarnoziemnych). W gub. podolskiej 43,12% ogólnych posiadłości, w Besarabii 49,33%, gub. chersońskiej 61,53%, jekaterynosławskiej 50,16%, charkowskiej 45,44%, tambowskiej 47,16%, penzeńskiej 49,78%, saratowskiej 45,76%. W guberniach przemysłowych stosunek dóbr zastawionych o wiele mniejszy.

Zapisy. Fundusz Ignacego Jarochowskiego 3,000 rs., od których procent przeznaczony jest na stypendya dla uczniów jednego z gimnazyów w Królestwie Polskiem, zatwierdziło ministeryum oświaty. Pierwszeństwo w otrzymaniu zapomogi mają kandydaci z rodziny Jarochowskiego herbu Grzymała.

— Ignacy Danilowicz zapisał rs. 83.000 na cele dobroczynne: 1,000 na nędzę wyjątkową, 1,000 na wpisy dla studentów uniwersytetu, tyleż na kościół Wszystkich świętych. Pozostałe 80.000 rs. testator oddał do rozporządzenia warszawskiemu Towarzystwu dobroczynności z zastrzeżeniem dożywocia dla wdowy. Po śmierci jego kapitał ma być podzielony na cztery równe części. Procent od pierwszych 20,000 będzie przeznaczony dla wdów po obywatelach ziemskich lub urzędnikach, wychowujących dzieci. Zasiłek ma być udzielany aż do czasu zupełnego ukończenia nauk szkolnych. Od drugiej części funduszu odsetki pójdą na utrzymanie biednych i nieuleczalnych w zakładzie starców warszawskiego Towarzystwa dobroczynności. Od trzeciej—na utrzymanie nieuleczalnych kalek, głównie ociemniałych i paralityków w zakładzie Sobańskiego. Od czwartej części procent będzie pobierać dożywotnio siostrzenica testatora, a po jej śmierci legat przechodzi na posag dwóch najmoralniejszych zupełnych sierot, wychowanek instytutu św. Kazimierza. Pierwszeństwo do wsparć powyższych mają osoby wyznania katolickiego, pochodzące z gub. grodzieńskiej, pow. bialskiego lub białostockiego. Egzekutorami testamentu są pp. Jan Machnaur i Emil Węglerski.

Petersb Wied. donoszą, iż w głównej intendenturze utworzono specyalną komisyę, mającą opracować przepisy o dostarczaniu przez właścicieli ziemskich prowiantu do intendentur okręgowych we wszystkich 14 okręgach państwa.

W sprawie naturalizacyi i utraty poddaństwa ruskiego komisya przyjęła projekt warszawskiego generał-gubernatora, tyczący się ustanowienia 10-letniego terminu, po którym dopiero osoby pozostające za granicą, tracą poddaństwo ruskie.

Dla włościan. Wobec powiększania się włościan bezrolnych, wniesiono do Rady państwa projekt, zabraniający chłopom usuwania się z gmin oraz obciążania ziemi innymi ciężarami, prócz podatków.

Uniwersytet warszawski wydelegował w celach naukowych za granicę profesorów Okolskiego, Bloka i Romaszkiewicza. — Prof. języków starożytnych Mierzyński, po wysłużeniu lat 30, reskryptem ministeryum oświaty uwolniony został od dotychczasowych obowiązków. Lektor języka niemieckiego, po wysłużeniu 35-letniej emerytury, ustępuje.

— Zarząd uniwersytetu czyni starania o uzyskanie funduszu na budowę nowego gmachu dla biblioteki, obecny bowiem pawilon niedługo wytrzyma ciężar książek.

Zmarli. Dr. Walenty Zarnik w Lublanie, jeden z najwybitniejszych pisarzy i patryotów słoweńskich.

— Dr. Antoni Steker, w Jungbunzlau, znany podróżnik i badacz wnętrza Afryki.

— Garszyn, młody znany nowelista ruski, w Petersburgu.

— Jan Baranowski, mechanik, autor „Słownika polsko-angielskiego“ i „Vade mecum“ francuzkiego. Ur. 1805 r.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Z. Pih. Nie dla nas.

P. A. C w Lubl. Odcinek mamy na długo zajęty.

P. A. W. w Wiedniu. Zagadnienie dawno i znakomicie rozwiązane. Artykuł nie zawiera nic nowego, a wiele przestarzałego.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

---

k. 10. Jest to króciutki zbiór najważniejszych przepisów hygieny. **8. Co robić, gdy kto zachoruje?** P. J. Zielczaka z 2-ma rysunkami k. 5. Książka ta zawiera krótkie rady niesienia choremu pomocy przed przybyciem lekarza. **5. Stara Baśń.** Z powieści J. I. Kraszewskiego skróciła F. M. kop. 10. **10. Kuźma Jeż.** Z powieści T. T. Jeża „Historya o pra-pradziadku" skróciła F. M. k. 10. **11. O Rolę.** Obrazek obyczajowy W. Marrené-Morzkowskiej k. 6. **12. Prawdziwa historya o Szymku parobku i Zofce Pawelcównej.** Obrazek obyczajowy p. Antoszkę k. 5. **13. Bandosko.** Obrazek obyczajowy p. W. Olszewskiego k. 10. **14. Snopek.** Książka dla dzieci wiejskich p. R. M. Jest to zbiór artykulików, wierszy etc., dających dziecku stopniowe pojęcie o jego otoczeniu, zaczynając od samego siebie i chaty rodzinnej, a kończąc na tem, co widzi na niebie. (Wkrótce wyjdzie z druku). **15. Pan Adwokat.** Z powieści p. El. Orzeszkowej: „Niziny" (wkrótce wyjdzie z druku). **16. Sprawa o wóz** czyli historya o jednym wójcie i jego pisarzu. Opowiedziana przez W. Olszewskiego (wkrótce wyjdzie z druku).

UWAGA. Numera 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7 i 14 mogą być używane do nauki zarówno przez dzieci włościańskie jak i przez wszelkie inne.

Wydawnictwa „Prawdy."

2) J. Brandes: **Główne prądy literatury XIX w.**

Tom I. Literatura emigrantów. Szkoła romantyczna w Niemczech rs. 1 k. 50

„ II. Literatura niemiecka — ciąg dalszy . . , ... „ 1 „ 50

„ III. Rewolucya. Zasada powagi, Restauracya . . . . „ 1 „ 50

„ IV. Naturalizm w Anglii. Wordsworth, Coleridge, Walter-Scott, Keats, Moore, Shelley, Byron . . . . „ 2 „ —

3) **Ekonomia polityczna** według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona . . . . rs. 3

4) L. Liard: **Logika** . . . . „ 1

5) A. Espinas: **Społeczeństwa zwierzęce,** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii.

Autor przedstawia ustroje życia zbiorowego śród zwierząt, dostarczając niezmiernie ciekawych objaśnień stosunków ludzkich.

Cena . . . . rs. 3

UWAGA. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny.** Na koszta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.

6) E. Taylor: **Zmyślność i moralność roślin**

Treść: Przebiegłość kwiatów. — Ich dyplomacya. — Gra w chowanego. — Obrona nie zaczepka. — Współdziałalność. — Społeczne i państwowe gospodarstwo roślin. — Ubóstwo i bankructwo. — Rabunek i morderstwo. — Odwrotna strona medalu. — Geograficzne rozpowszechnienie roślin.

Cena (w oprawie) . . . . . rs. 2 k. —

„ dla abonentów *Prawdy* . „ 1 „ 50

7) L. H. Morgan: **Społeczeństwo pierwotne:** czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. B.

Rozwój inteligencyi. — Rozwój idei rządu. — Rozwój idei rodziny. — Rozwój idei własności.

Cena . . . . rs. 4 k. —

„ dla abonentow *Prawdy* . 3 „ —

z przesyłką pocztową „ 3 „ 50

Egzemplarze oprawne dzieła Morgana **Społeczeństwo pierwotne** nabywać można za dopłatą kop. 40.

8) J. Barni i A. Krzyżanowski: **Męczennicy myśli** (w oprawie) . „ 1 „ —

9) A. Świętochowski: **O powstawaniu praw moralnych** . . . „ 1 „ 50

10) W. Okoński: **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską) . „ 1 „ —

11) — **O życie,** powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug, Damian Capenko . . . . „ — „ 50

12) — **Klemens Boruta,** powieść „ — „ 40

UWAGA. Abonenci, którzy prenumerowali *Prawdę* przez **cały** r. 1887, otrzymali w grudniu dodatek nadzwyczajny, pierwszą część (25 arkuszy druku) dzieła **Historya wieku XIX;** ci zaś, którzy będą prenumeratorami przez półrocze pierwsze roku obecnego, otrzymają w czerwcu resztę tegoż dzieła (ark. 15).

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Апрѣля 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski.**